NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 60 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.

Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok X. | Kraków, 14 czerwca 1913. | Nr. 24.

Wojna w parlamencie.

(Treść na str. 2).



Wojna w parlamencie.

(Do illustracyi tytułowej).

Ponownie przeprowadzony proces sądowy między premierem węgierskiego gabinetu Lukacsem a posłem Desym, dotyczący rewelacyi na tle gospodarki stronnictwa rządowego, stał się powodem nowych scen bardzo burzliwych w Sejmie węgierskim. Proces ten Desy wygrał, a trybunał przyjął za udowodnione, że Lukacs otrzymał od Banku węgierskiego 4 mil. kor. za przeprowadzenie układu rządowego z tym bankiem, które to pieniądze zostały następnie użyte na wyborczą akcyę partyi pracy. Naturalnie, że taki wynik procesu, który skompromitował Lukacsa, doprowadził do natychmiastowej dymisyi całego gabinetu.

Jednocześnie z upadkiem gabinetu Lukacsa ustąpił znienawidzony ban Chorwacyi Cuvaj, sprawujący tam dyktatorskie rządy.

Na drugi dzień po ogłoszeniu wyroku w sprawie Desyego przyszło na posiedzeniu Sejmu węgierskiego do bardzo burzliwych scen. Kiedy na sali obrad pojawił się prezydent gabinetu, opozycya zaczęła krzyczeć: „precz złodzieju!“ Również obrzucono obelgami prezydenta Sejmu hr. Tiszę, krzycząc: „łajdaku! złodzieju! powiedz co się stało z solą!“ i t. p.

Wobec tego, że okrzyki opozycyi uniemożliwiały rozpoczęcie posiedzenia sejmowego, wezwał hr. Tisza straż parlamentarną, aby opozycyę ze sali usunęła. Kiedy na sali pojawiła się straż pod wodzą trzech oficerów, opozycya powitała ją okrzykami: „pfuj! szubrawcy!“ i t. p. Najgłośniej wykrzykiwał poseł Hedervary i obrzucił obelgami kapitana Göre. Wówczas ten wyjął z pochwy szablę i ciął trzy razy płazem krzyczącego posła. Razy były tak silne, że poseł Hedervary zwalił się na ziemię, mimo, iż nie został wcale raniony.

Zajście to powiększyło jeszcze bardziej zamęt. Zaczęto krzyczeć: „morderstwo! zabójcy!“ Poseł Justh wołał ciągle: „Niech straż urządzi rzeź!“

Wreszcie udało się straży parlamentarnej usunąć krzyczących posłów, poczem dopiero można było przystąpić do obrad.

Cesarz dymisyę premiera Lukacsa przyjął, a Sejm odroczył swe obrady, aż do utworzenia nowego gabinetu, na czele którego stanął znienawidzony przez opozycyę prezydent Sejmu węgierskiego hr. Stefan Tisza.

Tytułowa nasza illustracya przedstawia chwilę walki między kapitanem Göre a posłem Hedervarym.



Wojna w parlamencie: Sejm węgierski pod strażą wojska z karabinami maszynowymi.

O pokój na Bałkanach.

Wojna z Turcyą została ostatecznie zakończona. Delegaci państw bałkańskich, przy pomocy reunionu ambasadorów podpisali już w Londynie preliminarya pokojowe, przez co pomiędzy wojującemi stronami nastąpił wreszcie upragniony pokój. Na linii Czataldży powoli opróżniają się z wojsk stanowiska bułgarskie i tureckie i armie obu państw powracają już do domów. Stosunki dyplomatyczne między stronami wojującymi nie zostały jednak jeszcze podjęte. Na razie bowiem podpisano tylko ogólne warunki między walczącymi, dotyczące w najszerszym zakresie kwestyi pokoju. Obecnie zaś nad zawarciem samego pokoju pracować będą różne komisye. Jedna, finansowa, pracuje w Paryżu i ma ona rozdzielić, jakie ciężary długów państwowych tureckich przypadną na zwycięskie państwa. Mianowicie terytorya zdobyte są obciążone różnymi pożyczkami na różne cele inwestycyjne, wojskowe i t. p. Otóż te długi muszą obecnie przejąć państwa bałkańskie. Ta sama



Wojna w parlamencie: Dr Lukacs, b. prezydent gabinetu węgierskiego.



O pokój na Bałkanach: Delegaci państw bałkańskich na reunionie ambasadorów w Londynie podpisują akt zawarcia pokoju.

komisya ureguluje także kwestyę odszkodowania wojennego.

Druga komisya radzić będzie w Londynie, przy pomocy ambasadorów. Ta ułoży nową linię graniczną, określi, do kogo należeć będą wyspy morza Egejskiego, słowem ureguluje polityczną stronę traktatu pokojowego. Dopiero po ukończeniu tych narad zostanie urzędowo podpisany pokój.

Radosny nastrój chwili zamąca jednak inna chmura. U wrót pokoju stanął znowu Mars i grozi swym krwawym mieczem w innej już jednak stronie. O podział zdobyczy kłócą się teraz zdobywcy. Serbia grozi Bułgaryi, Bułgarya zaś grozi Serbii i Grecyi. Wojska, które dotychczas walczyły przeciw Turkom, stanęły naprzeciw siebie, gotowe do bratobójczych zapasów. Znowu pracuje dyplomacya europejska, ale wojna bułgarsko-serbska wisi w powietrzu.

Różdżka oliwna pokoju nie prędko, zdaje się, zapanuje nad Bałkanem.



Wojna w parlamencie: Posłowie opozycyjni z Justhem na czele spieszą na posiedzenie Sejmu węgierskiego.

Koncert 600 dzieci.

Dzieci szkolne występują rzadko na widowni publicznej, choć każdy taki występ jest znakomitym środkiem do wyrobienia karności, daje dziatwie sposobność wykazania, czego się nauczyła i zadzierzga



Wzorowa szkoła: Uroczystość poświęcenia nowego gmachu zakładów wychowawczo-naukowych p. Strzałkowskiej we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).



Wzorowa szkoła: Nowy gmach zakładów wychowawczo-naukowych p. Strzałkowskiej we Lwowie.

silniej węzeł, łączący rodziców, względnie szerszą publiczność, ze szkołą.

Jeśli to ma nastąpić, musi każdy występ odpowiadać następującym warunkom: deklamacye i muzyka powinny być zastosowane ściśle do poziomu umysłowego dziatwy, wszelki sceniczny i dekoracyjny aparat, z jakim spotykamy się w teatrze dla dorosłych, musi być usunięty, a regularny tok nauki nie śmie ucierpieć przez przygotowanie przedstawienia.

Do rzędu takich występów, mających ogromnie doniosłe znaczenie pod względem pedagogicznym i moralnym, zaliczyć należy dwa koncerty, które się w ostatnich czasach odbyły w Krakowie na dochód kolonii wakacyjnych.

„Swięto wiosny“, to popisy wokalne i deklamacyjne młodzieży tutejszych szkół wydziałowych, urządzone pod kierownictwem dyrektorów Buczka i Wacięgi i prof. Iseppiego w dniu 30 maja i 7 czerwca b. r.

Ile trudu i mozołu kosztowało przygotowanie przedstawienia, pojmie każdy. Młodociani artyści uczęszczali do ośmnastu szkół, a nad przygotowaniem koncertu pracowało niestrudzenie przez trzy miesiące dwadzieścia sił nauczycielskich.

Rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania.

Wykonanie poszczególnych części programu było wprost wspaniałe, sukces moralny pod każdym względem osiągnięty, wynik materyalny natomiast słaby, czemu po części winna i nasza prasa, która z ogromną rezerwą zachowywała się wobec szlachetnego przedsięwzięcia. Po prostu nie wierzono, aby coś podobnego mogło się udać w Krakowie!

Z chwilą podniesienia kurtyny, gdy oko widza spoczęło na scenie, zapełnionej młodzieżą, między którą większość stanowiły dziewczątka w bieli, rozległa się salwa frenetycznych oklasków, to samo



Koncert 600 dzieci: Komitet, zajmujący się urządzeniem koncertu z dyr. Wacięgą (1), dyr. Buczkiem (2) i prof. Iseppim (3) na czele.

powtarzało się po ukończeniu każdego punktu programu.

Młodzi wykonawcy opuszczali budynek teatru miejskiego z przeświadczeniem, że spełnili dobry uczynek, przysporzyli bowiem funduszów na cel tak szlachetny. Chwila ta zapisze się w ich pamięci niezatartemi głoskami i stanowić będzie miłe wspomnienie na całe życie.

Gorąca podzięka należy się panom Buczkowi, Wacięðze i Iseppiemu, którzy byli inicyatorami i kierownikami tego pięknego popisu, niemniej też i reszcie grona nauczycielskiego, które im tak dzielnie pomagało.

Wzorowa szkoła.

Taką wzorową szkołą, urządzoną według najnowszych wymagań pedagogiki i hygieny, są niewątpliwie zakłady wychowawczo-naukowe p. Zofii Strzałkowskiej we Lwowie, przeniesione obecnie do nowego wspaniałego budynku przy ul. Zielonej L. 22. Jest to 4-piętrowy gmach, wzniesiony kosztem półtora miliona koron. Położony wśród dużego ogrodu, składa się z budynku frontowego, dwóch skrzydeł bocznych i hali, która łączy te skrzydła ze sceną i kaplicą.

W tych obszernych ubikacyach mieści się gimnazyum zakładu, seminaryum, 4-klasowa szkoła normalna, ogródek freblowski, szkoła muzyczna, szkoła gospodarstwa domowego, szkoła robót artystycznych, internat i t. d. Wszystkie te zakłady są urządzone pod każdym względem wzorowo. Znajdują się tam wspaniałe gabinety naukowe, sale do ćwiczeń muzycznych i śpiewu, biblioteki, czytelnie, obszerna sala i gabinet rysunkowy, sala amfiteatralna do wykładów fizyki, aula o 240 m² powierzchni ze szklanym dachem, sala gimnastyczna o powierzchni 100 m², sala zabaw, łazienki i tusze, sale przyjęć, jadalnie, oranżerye i t. d., a na wysokości 5-go piętra urządzono obserwatoryum astronomiczne.

W tych dniach właśnie odbyła się piękna uroczystość poświęcenia tego wzorowego gmachu szkolnego.

Po Mszy św. architekt pan Zacharyewicz — twórca budynku — wręczył właścicielce p. Strzałkowskiej klucze, poczem ks. Arcybiskup Teodorowicz dokonał poświęcenia nowego budynku, a następnie wygłosił dłuższe, pełne podniosłych myśli przemówienie. Dalej przemawiali dyr. seminaryum pan Bizoń, nauczycielka pani Hozerowa, rad. dw. Okęcki (imieniem namiestnika i wiceprezydenta Rady szkolnej krajowej) p. Dekońska imieniem rodziców, uczenice 8-ej klasy, delegatki i t. d.



Praca wśród ludu: Uczestniczki ośmiodniowych kursów dla gospodyń wiejskich w Częstochowie.



Praca wśród ludu: Uczestnicy kursów rolniczych w Częstochowie.







ARTUR GRUSZECKI

POD CZERWONYM WIRCHEM

16

— Tak jest, tylko pan, — potwierdziła z powagą pani Łącka.

— Jakim sposobem? — spytał swobodnie, nie poczuwając się do winy.

— Pan doktor, jako jeden z warunków wyzdrowienia polecił, ażeby kuzynka, pani Jerzycka, zmuszała się do ruchu, do samodzielnego dbania o siebie i pamiętania o swoich potrzebach. Panie słyszały? — zwróciła się do sąsiadek.

— Tak jest, — potwierdziła pani Mniewska pospiesznie, — to samo mówił sam pan Jerzycki.

— Niech się panu nie zdaje, że my nie potrafimy być uprzejme i usłużne, gdy zajdzie potrzeba, — mówiła dalej z powagą surową pani Łącka.

— Ja pierwszy usługiwałbym z przyjemnością pani Jerzyckiej, — odezwał się pan Jedliński, — ale wyżej cenię jej zdrowie, aniżeli moją przyjemność, — spojrzał z ironiczną wyższością na pana Borowieckiego.

Pani Wanda i oskarżony uśmiechali się do siebie i traktowali tę sprawę żartobliwie, co widocznie drażniło panią Łącką, i ciągnęła dalej oskarżenie z niezmąconą surową powagą:

— Otóż, proszę pana, szkodzi pan mej kuzynce przez swą nadmierną uprzejmość, i jeśli ona, powodowana zbyteczną w tym razie delikatnością, nie sprzeciwiała się panu, ja już kilkakrotnie dawałam panu do zrozumienia, że podobna dbałość jest niepotrzebna.

— Jeśli szanowna pani, — mówił uśmiechnięty pan Borowiecki, — nazywa zbyteczną dbałością podanie ręki lub szklanki wody, jakże pani nazwie zachowanie matki, która córeczkę sama ubiera, czuwa nad nią nietylko w nocy, ale i we dnie, ażeby nie uderzyła nóżką o kamyczek, ażeby nie zaszkodził chłód cienia, muszka nie usiadła, komar nie ugryzł?

— O, panie, — zawołała z oburzoną godnością pani Porecka, — naigrawać się z uczuć macierzyńskich nie wolno. One są bezinteresowne, szlachetne, czyste, czego o innych uczuciach nie można powiedzieć.

— Ta co pan mówi? — odezwała się pani sędzina z Jarosławia, świeżo przybyła do zakładu, blondynka pulchna, z twarzą krągłą, podobną z koloru do jabłuszka rajskiego, — pan musi chyba z Królestwa być, bo u nas, w Jarosławiu, nikt nie ośmieliłby się dotknąć macierzyństwa.

— Istotnie nie pochodzę z Jarosławia, — zaśmiał się, — czego żałuję, bo byłbym współmieszkańcem pani.

— Ta my takich nie chcemy na współmieszkańców, — zarumieniła się, — byłoby zgorszenie, a u nas, w Jarosławiu, wszystko po bożemu.

— Tak samo i u nas na Podolu, — powiedziała z godnością pani Porecka, — my wychowujemy tak nasze córki, ażeby były zaradne, nie szukały pomocy u obcych, — spojrzała naturalnie niechcąco w stronę pani Wandy, której podawał sąsiad talerz z ciastkami, — wogóle niema wśród nas tych, jak nazywają Anglicy, *unskilled hands*, czyli ludzi z rękami niezdatnemi.

— Tak, tak, — westchnęła pani Łącka, — na razie takie usługiwanie, taka troskliwość podoba się, znam to, znam, ale trwa to krótko, a potem jaka przykrość!

— Tysiąc razy lepiej przemódz swe lenistwo, — wygłosiła sentencyonalnie pani Porecka, — aniżeli być na łasce służby lub grzeczności obcych, zawsze to powtarzam.

— Może jednak pani pozwoli, że są tacy, którzy nie podzielają zasad pani, zapewne wzniosłych i praktycznych, — powiedział pan Borowiecki.

— Widzę to, widzę, i nietylko ja jedna, — westchnęła pani Porecka, — ale czy pomyślał pan o skutkach?

— „Lepsza w kwietniu jedna chwilka, niż w jesieni całe grudnie“, — odrzekł z uśmiechem.

— Co pan powiedział?

— To nie ja, ale Mickiewicz.

— Ach, poeta! — uśmiechnęła się lekceważąco, — wiadomo, że poeci wszystko poświęcą dla przyjemnych wrażeń, ale też żadna matka nie wydałaby córki za poetę.

Wszczął się gorący spór, już nie o poetę, ale o to, czy lepiej jest przeżyć życie normalnie, spokojnie, bez wielkich wstrząśnień, czy też doznać gwałtownych wrażeń i uczuć, a resztę życia spędzić w szarzyźnie.

Spór ten przeniósł się ze sali jadalnej do gabinetu, gdzie zwykle pijano kawę czarną. Tym razem przyszły i panie, gdyż każdy w tem towarzystwie, tak panie, jak panowie, uważali się nietylko za uprawnionych do zabrania głosu, ale i do rozstrzygnięcia tej kwestyi, uważając swe zapatrywanie za jedynie słuszne i sprawiedliwe.

Pan Jedliński, który miał ducha organizatorskiego, widząc, że rozmowa wchodzi na różne tory, zawołał:

— Właściwie każdemu z nas zależy na tem, ażeby być szczęśliwym, zatem od pojęcia szczęścia zależy też wybór takiej, lub innej drogi do osiągnięcia go. Proponuję tedy, ażeby każdy z nas powiedział, co rozumie pod szczęściem.

— Tak, to naprawdę ciekawe, — rzekła pani Mniewska, — byle każdy z nas był szczery.

— Czyż wśród nas jest ktoś nieszczery? — zaśmiał się pan Jedliński, — ja przynajmniej nie mam nic do ukrywania i będę szczery.

— I co pan uważa za szczęście dla siebie? — spytała pani Łącka.

— Szczęściem dla mnie byłoby, — spojrzał na panią Wandę, czy słucha, — gdyby moje marzenie stało się rzeczywistością.

— A jeśli pan marzy o zostaniu królem, cesarzem? — zaśmiała się pani Łotuska, a za nią inni.

— O, nie! Mężczyzna, jeśli marzy, to tylko o ukochanej kobiecie, a resztę zdobywa czynem. A pani? — zwrócił się do pani Mniewskiej.

— Ja?... Powiem szczerze, że szczęściem dla kobiety, jest miłość... piękna, upajająca, wierna i stała.

— Taką miłość opisują tylko książki, — powiedziała z godnością pani Porecka, — ona dobra w romansach, ale w życiu, na przykład mnie, wystarcza do szczęścia dobry, kochany mąż i zdrowe, szczęśliwe dzieci, — spojrzała na córkę rozczulona.

— To bardzo piękne, — uśmiechnęła się pani Łotuska, — ale, jeśli kto nie ma dzieci, jak ja, co zostaje?

Wiedziano, że męża ma starego i podobno zazdrosnego, więc nikt nie wspomniał o nim, tylko pan Jedliński rzekł:

— Co tedy pani uważa za szczęście?

— Wolność zupełną i dużo, bardzo dużo pieniędzy.

— Pieniądze! ? — skrzywiła się Madzia Porecka nieznacznie, — one przecież nie stanowią szczęścia. Znamy milionerów i wcale nie są szczęśliwi, nieprawdaż mamo?

— Tak jest... nawet dwóch znamy, i obaj prawie nieszczęśliwi.

— Bo nie umieją używać, — gorączkowała się pani Łotuska, — przecież nie na to chcę być bogatą, ażeby trzymać w kasie pieniądze, — zaśmiała się, — zresztą takie jest moje zdanie o szczęściu, a pani? — spojrzała na Madzię Porecką.

Matka utkwiła oczy w usta córki i cała obróciła się w słuch.

— Dla mnie szczęściem jest harmonia w życiu, żadnych barw surowych, tonów wrzaskliwych, wszystko zharmonizowane.

— Ślicznie powiedziałaś Madziu, — pochwaliła matka, a inne panie dodały ogólnikowo:

— Tak jest, harmonia jest piękna i pożądana.

W tej chwili do gabinetu zajrzała pani sędzina i zawołała ze śmiechem:

— Ta cóż to za wiec, a mnie wolno posłuchać?

— Bardzo prosimy, — rzekł pan Jedliński, — ale pod warunkiem, że pani powie, co rozumie pod szczęściem?

— Ta cóż to wielkiego, jeśli wy mówicie, powiem i ja, — usiadła na fotelu, — czy to zabawa w szarady?

— Nie! każdy z nas mówi swe wyobrażenie o szczęściu w życiu, — odpowiedział pan Jedliński, — a resztę czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa, — zaśmiał się.

— Ta dobrze... posłucham i nauczę się, jak nie wiem.

— Ja teraz powiem, — zgłosił się pan Orlicki, czy dobrze?

— Panowie później, panie najpierw, może pani zechce, — spojrzał na panią Wandę.

— Trudno mi określić w krótkich słowach, — zarumieniła się, — ale chyba najbliższem prawdy będzie, że dla mnie szczęściem jest swoboda ducha i swoboda czynu.

— To ogólnik, kuzynko, — zawołała pani Łącka, — coś określonego.

— Nie być skrępowaną, nie mieć obaw, przesądów... no i żeby każdy czyn był w zgodzie z moją duszą, czy rozumem.

— Tak, to rozumiem, to ładne marzenie, — rzekła z uznaniem pani Łącka, — szkoda tylko, że my, kobiety zamężne, jesteśmy też trochę zależne od mężów.

— Tak samo, jak mężowie od żon, — uśmiechnął się pan Borowiecki.

— O, przepraszam, — zaprzeczyła pani Łącka, — mężczyźni są często za domem i żyją na własną rękę.

— Dają nogę z domu, czy nie tak? — zaśmiał się pan Orlicki, co przyjęte było wesoło, tylko pani Łącka zmierzyła go surowemi oczyma i powiedziała z chłodną wyniosłością:

— To wyrażenie zaczerpnął pan zapewne z nizkiego poziomu, u nas tak się nie mówi, — i, nie czekając usprawiedliwienia, dodała: — no, a ty Ryto, co powiesz o szczęściu?

— Dla mnie szczęście, to spokój, niezamącony spokój.

Pani Wanda drgnęła i spojrzała na nią badawczo, z wielkiem współczuciem.

— Spokój taki, to martwota ducha i ciała, — rzekł pan Szarocki; — gdy wyobrażam sobie szczęście, to stają przed oczyma mej duszy dwa potężne duchy w samotności, gdzieś na białych wirchach, kędy orły bujają.

— Ta i co robiłyby tam te duchy? — zaśmiała się sędzina, — ani gdzie jeść, ani pić, ani spać. Dziękuję za takie szczęście, już jabym jego nie chciała.

Wszyscy roześmiali się wesoło, tylko pan Szarocki powiedział posępnie:

— To szczęście nie jest też dla duchów z nizin, lecz dla wybranych jest samotność, — spojrzał przelotnie na panią Łotuską.

— Ta i co pan mówi o wybranych, — broniła się sędzina — ot, zaraz opowiem państwu o tych wybranych, — umilkła i spojrzała po obecnych.

— Prosimy... prosimy...

— Ta raz my bawili się, u nas w Jarosławiu, u naszego starosty, w odgadywanie słów. Tak jeden pan dowcipny dał do odgadywania samotność. Ot i co państwo powiedzą, — zaśmiała się cicho, — ani jedna panna, ani jeden kawaler, nie chcieli odgadnąć to słowo, a przecież to był sam wybór inteligencyi Jarosławia, sami wybrani, — śmiała się głośno.

— To przypadek, — rzekł ironicznie pan Szarocki, — a przypadki nie wchodzą w rachubę. A jakie wyobrażenie o szczęściu mają w Jarosławiu?

— Ta i poco to pytanie? — nachmurzyła się, — ja ze wszystkimi nie żyję, to i nie wiem. Ja nie pytam pana, co myślą o szczęściu w mieście pana, ta nie pytaj mnie pan o Jarosław.

— Bardzo słusznie, bardzo słusznie, — zawołał pan Jedliński, — tu mowa tylko o indywidualnem szczęściu. I niech pani będzie tak łaskawa i powie.

— Ta dlaczego nie? Przecież to nie żaden grzech, ani zbrodnia, żeby ukrywać. Ot, nie jest dla mnie szczęściem ani bogactwo, ani sława, tylko zdrowie i dostatek, — a widząc uśmiechy ironiczne, poczerwieniała i dodała, — ja niedokładnie powiedziała może o tym dostatku, ale rozumiem spokojną, wierną miłość małżeńską, zaopatrzenie zdrowych dzieci...

— I awans, — zadrwił pan Szarocki.

— A pan myśli, że nie? Jeśli to potrzebne do szczęścia męża, niech sobie awanzuje.

Pan Orlicki niecierpliwił się, że nie może przyjść do słowa, i korzystając z chwilowej pauzy, stanął i spytał:

— Czy teraz ja mogę powiedzieć, co to jest szczęście?

— I owszem... prosimy...

— Ja sobie wyobrażam, że dla człowieka jest szczęście, kiedy żyje ze sztuką, a kocha kobietę. Czy nie tak? — spojrzał z uśmiechem dumy po obecnych.

— To pan myśli żyć ze sztuką tak za pan brat? — szydził pan Szarocki, — Prawdziwa sztuka, to wielka pani, ona się nie pospolituje.

— Czy ja mówiłem o pospolitowaniu? Jak ja powiedziałem, że żyję ze sztuką, to ona jest dla mnie przyjacielem, który mnie nigdy nie opuszcza, czy ja smutny, czy wesoły. Poco zmieniać moje słowa?

— Tak jest, poco zmieniać? — powiedziała rozbawiona pani Mniewska, — a w imieniu kobiet dziękuję, że pan stawia nas na równi ze sztuką.

— Czy ja to powiedziałem? — uśmiechnął się ironicznie, — ja tego wcale nie powiedziałem. Ja mówiłem, że żyć ze sztuką, a kochać kobietę. Czy to jest to samo?

— Pan nas obraża, panie Orlicki, — zawołała z udanym gniewem pani Łotuska.

— Czy kochać, to obraza? — zaśmiał się, — ja nigdy o tem nie słyszałem, a może pani słyszała?

— Jaki pan szczęśliwy człowiek, że wystarcza panu kochać i ufać kobiecie, — zaśmiał się pan Jedliński.

— Kto powiedział o ufaniu? — uśmiechnął się, — ja nie wierzę kobiecie, tak samo, jak mój przyjaciel poeta, który napisał:

Jeśli ty pragniesz pozostać na wieki
Czystym jak łezka i szklącym, jak dyament,
Jeśli ujrzysz kobietę, zmruż prędko powieki,
Jeśli na cię spojrzy, zrób wtedy testament.

— Wyborny wiersz! — śmiał się pan Jedliński, — pański przyjaciel musi być bardzo dowcipny.

— A dlaczego nie ma być? Czy panu to co szkodzi?

— Nic, a nic, ale dlaczego pan każdy frazes kończy pytaniem?

— A dlaczego nie mam pytać? — zaśmiał się.

— I to prawda.

— Panie Borowiecki, — odezwała się Ryta, — a co pan uważa za szczęście?



— A mnie wolno posłuchać?

Wszystkie panie spojrzały na niego, on zapalił papierosa, co było dozwolone w tym gabinecie i powiedział z uśmiechem spokojnym:

— Szczęście czy nieszczęście nasze indywidualne nosimy w sobie, niezawiśle od otoczenia i warunków.

— Co też pan mówi, — oburzył się pan Jedliński, — jeśli jestem w nędzy, jeśli stracę ukochaną osobę, jestem nieszczęśliwy, a przyczyna leży w warunkach zewnętrznych.

— Tak, tak, — przyznawały panie słuszność tym słowom.

— Pozwól mi pan usprawiedliwić się, — zaczął bardzo uprzejmie pan Borowiecki, — zechciej pan poszukać, nie już w historyi, ale w swej pamięci, ludzi, którzy wesoło znosili braki, niedostatek, nędzę. Miałem dość takich kolegów, a zapewne i pan.

— No, tak, zapewne... to jednak młodość, ale w starszym wieku...

— Znam starszych, a nawet starych, którzy zupełnie zubożeli, a są weseli i swobodni. Zależy to od naszego wewnętrznego ja, w jaki sposób oddziaływa ono na zewnętrzne stosunki. Tak samo z chorobami, tak samo przy utracie ukochanych. Są ludzie, którzy choroby znoszą pogodnie, bez narzekań i pretensyi, a ze stratą godzą się, jako z koniecznością, bez krzyku, lamentu, rozdzierania szat.

— Ach, pan nigdy nie kochał! — zawołała wzruszonym głosem pani Łącka.

— Ach, proszę pani, mam lat przeszło trzydzieści. Kochałem... straciłem najdroższego mi ojca, bardzo bolałem, ale czy uczczę jego pamięć tym sposobem, ażebym innym, moim bliskim, zatruwał życie moją rozpaczą, czy byłoby mu to miłem, gdyby żył?

Ryta i pani Wanda pochłaniały jego słowa i z pod oka spoglądały na panią Łącką, która zbladła, posmutniała i spojrzała na Rytę łagodniej:

— Muszę to rozważyć, — westchnęła.

— Ale to szczęście? — zawołała pani Łotuska, — pan nie dokończył.

— To nasze osobiste szczęście zależy od nas i zmienia się, stosownie do nastroju i wieku.

— O, nie zawsze, — sprzeciwił się pan Szarocki, — od kiedy dojrzał mój duch, stale pragnę jednego i tego samego ideału szczęścia.

— Pan przeszkadza, — powiedziała Ryta, — pan Borowiecki ma głos, — uśmiechnęła się do niego.

— Co jest szczęściem, dam przykład z życia... W zapadłej wiosce w Katalonii, w Hiszpanii, odkrył jeden z podróżnych na małym, wiejskim cmentarzu nagrobek z napisem polskim i odcyfrował zatarte, ale jeszcze czytelne, te słowa:

Jeśli zaglądną tu stopy czyje
Z nad Warty, Wisły i Niemna zdroju,
Niechaj mi powie, czy Polska żyje,
Wtedy dopiero umrę w spokoju".

Ileż w tych prostych słowach miłości głębokiej, tęsknoty, nadziei! Zapatrzony w swój wielki cel życia, przepojony miłością do niego, nie przywiązuje wielkiego znaczenia do osobistych cierpień lub pragnień szczęścia. Żyje ideą miłości ojczyzny, dla niej ginie i leżąc w grobie, jeszcze o niej śni i marzy. Mojem zdaniem, tylko taki człowiek jest szczęśliwy, który ukochał wielką, potężną ideę i dla niej żyje.

— I kto on był? — spytała wśród chwilowej ciszy pani Mniewska.

— Na nagrobku żadnego nazwiska, roku, nic, coby przypominało jego osobistość, żył i umarł dla idei... Najstarsi ludzie we wsi opowiadali, że słyszeli, iż ten, co spoczywa pod nagrobkiem, był ranny, i umierając, kazał wyryć te słowa... Jakże drobne, marne, egoistyczne są te nasze pragnienia szczęścia wobec wzniosłej miłości i pragnień bezimiennego żołnierza polskiego!?

Milczeli wszyscy, mogło się zdawać, że zjawił się tu duch legionisty z płomiennem sercem i mówił swą postacią: Myśmy tak kochali, a wy?

X.

Pani Wanda z każdym dniem czuła się lepiej, coraz rzadziej opadały ją czarne myśli i głuche smutki. Twarz jej, zwykle blada, z wyrazem trwożliwości i niepokojów wewnętrznych, stawała się spokojniejszą, a cudne jej oczy nabierały blasku i życia. Uspokojenie to przypisywała pozbyciu się wszelkich trosk i kłopotów domowych i gospodarskich, i hygienicznemu porządkowi życia w zakładzie.

Z otoczeniem, które na razie ją tak drażniło i męczyło, pogodziła się, i zaczęły ją interesować drobne szczegóły życia jej sąsiadek i sąsiadów. Na obiady i kolacye wspólne szła bez przymusu, a nawet z zadowoleniem. Wiedziała, że zaraz na wstępie ujrzy wielbiące ją oczy pana Jedlińskiego, niezrażonego jej chłodną grzecznością. Te jego hołdy robiły jej pewną przyjemność i zaczęła go nietylko znosić, ale polubiła jego wesołość i żywość.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Morderstwa rabunkowe kapitana hiszpańskiego.

Wielkie miasta kryją w swem łonie niejedną tragedyę i tajemnicę. Odkrywa je przypadek lub też zawiść ludzka, a wtedy przed oczyma świata roztacza się obraz strasznej zgnilizny moralnej, która nieraz i w wysokich sferach ma swe siedlisko. Przed kilkunastu dniami Madryt został zelektryzowany sensacyjnem aresztowaniem. Uwięziono kapitana piechoty Sancheza, pod zarzutem, że zamordował kochanka swej córki Jelona. Jelon, który bywał w domu Sanchezów, znikł nagle i wszelki ślad po nim zaginął. Wtedy policya wskutek anonimowego doniesienia zrobiła rewizyę w domu Sancheza i znalazła poćwiartowane zwłoki Jelona. Sledztwo wykryło, że Jelon przybył pewnego dnia do córki Sancheza, Maryi, w odwiedziny i pokazywał, że ma przy sobie 5000 pesetów. Sanchez kazał córce, aby tę kwotę od niego odebrała. Ponieważ Jelon pieniędzy oddać nie chciał, Sanchez zabił go w pokoju córki.

Sledztwo wykryło dalej, że nie jest to pierwsza ofiara Sancheza. Wskutek nagromadzonych poszlak zarządzono rewizyą w dawnej willi Sancheza w Corunnie i znaleziono tam zakopane trupy dwóch ludzi.

Sanchez ma za sobą burzliwą przeszłość. Z wojska został wydalony za niehonorowe zachowanie się, potem jednak wstąpił doń z powrotem i walczył na Kubie, gdzie się odznaczył.

W czasie walki, kiedy wojsko hiszpańskie pod wodzą generała Martinez Campos zostało otoczone, trzeba było wysłać ważne wiadomości do drugiej



Redl Niemcem: Alfred Redl jako porucznik 58 p. p. we Lwowie.



Poświęcenie sztandaru gimnazyum V.: Grupa uczestników po uroczystości poświęcenia.



Morderstwa rabunkowe kapitana hiszpańskiego: Odkopane kości ofiar, zamordowanych przez kap. Sancheza.





Nowa arterya komunikacyjna w Warszawie:

Fragment trzeciego mostu.

Widok wiaduktu. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

armii. Zadanie było trudne i niebezpieczne, gdyż ten, coby je niezręcznie wykonał, narażał się na śmierć. Sanchez podjął się tej misyi i przekradł się przez nieprzyjaciela tam i z powrotem, za co mianowany został przed frontem porucznikiem.

Wkrótce potem Sanchez został kapitanem, poczem poszedł na emeryturę i rozpoczął wtedy swe niecne rzemiosło.

Córki swej, słynnej piękności, używał jako wabika na młodych i bogatych ludzi, których potem mordował i obrabowywał. Policya na podstawie dotychczasowych dochodzeń sądzi, że Sanchez zamordował kilkanaście osób.

Poświęcenie sztandaru gimnazyum V.

W dniu 25. maja b. r. odbyło się w Krakowie w kościele OO. Karmelitów na Piasku poświęcenie sztandaru uczniów gimnazyum V. w Krakowie.

Uroczystość rozpoczęła się mszą świętą, którą odprawił katecheta tegoż gimnazyum, ks. kanonik Jeż. Po mszy poświęcił on sztandar i w serdecznych słowach przemówił do młodzieży, zachęcając ją, aby pod nim szła naprzód dla dobra ojczyzny.

Po przemowie zaproszeni goście wbijali pamiątkowe gwoździe w drzewce sztandaru. Rozpoczęli rodzice chrzestni, dyrektorstwo Winkowscy, po nich dr. Jamrógiewicz, jako naczelnik organizacyi wojskowej młodzieży szkół średnich, dalej dr. Pec i wiele innych osobistości, głównie rodziców i przyjaciół młodzieży.

Z kościoła wyruszyła młodzież oddziałami pod dowództwem swych naczelników z muzyką gimnazyum III. i sztandarami wszystkich szkół średnich, a obszedłszy ulice miasta, powróciła do swego zakładu przy ulicy Jana Kochanowskiego.

Na podwórzu ustawiły się oddziały w czworobok, do młodzieży przemówił w serdecznych słowach profesor Kowalikowski, wykazując znaczenie uroczystości i przypominając młodzieży, jaką ma drogą postępować, by nie splamić swego sztandaru.

Sztandar, wykonany bardzo pięknie, z oryginalnymi ornamentami, wyszedł z pracowni p. Krygowskiej. Na sztandarze umieszczono obraz patrona młodzieży polskiej, świętego Stanisława Kostki, pomysłu i wykonania profesora Kołomłockiego.

Illustracya nasza przedstawia grupę uczestników pięknej uroczystości, która na długo pozostanie w pamięci młodzieży.



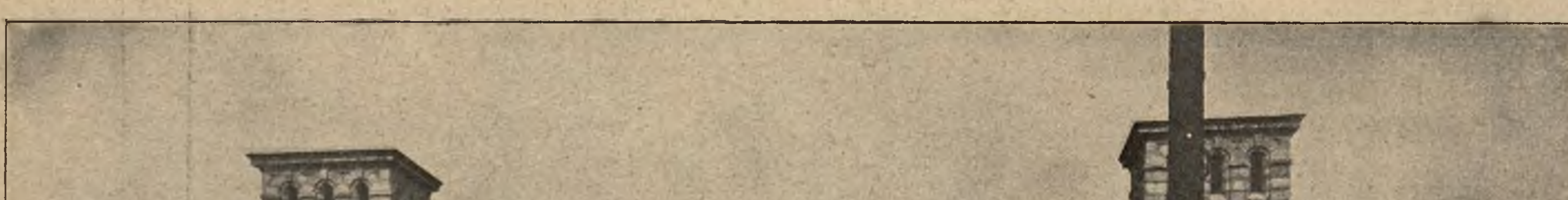
Nowa arterya komunikacyjna w Warszawie: Ostateczna próba wytrzymałości trzeciego mostu. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

Nowa arterya komunikacyjna w Warszawie.

Warszawa otrzyma już niebawem z takim upragnieniem oczekiwaną i z tylu trudnościami budowaną nową arteryę komunikacyjną, łączącą Aleje Jerozolimskie przez III. most z Pragą... Z końcem roku bieżącego ma już nastąpić uroczyste otwarcie wiaduktu i mostu, którego budowa została już, jak wiadomo, ukończoną. W tych dniach właśnie odbyła się ostateczna próba wytrzymałości nowego mostu wobec licznych przedstawicieli władz i miasta. W tym celu przejechały przez most naładowane olbrzymiemi ciężarami wozy i artylerya, a dla wykazania, jak most będzie na ten ciężar reagował, pod pierwszą arkadą mostową ustawiono specyalnie skonstruowane wahadło. Próba wydała wyniki najzupełniej zadowalniające...

Obecnie prowadzone są w przyspieszonem tempie roboty około budowy olbrzymiego wiaduktu, który podstawę stanowić będzie 27 arkad żelaznobetonowych. Według projektu, znaczna część tych arkad będzie wydzierżawiona na różnego rodzaju przedsiębiorstwa, jak tatersale, skating-ringi, cyklodromy i t. p. Według zapewnień głównego kierownika budowy inż. Lubickiego, budowa wiaduktu będzie ostatecznie ukończoną w listopadzie r. b. Normalna komunikacya przez 3 most będzie jednak otwartą już za 6 tygodni, po ukończeniu robót brukarskich od Solca do ślimaka. Z chwilą tą ludność Warszawy otrzyma wreszcie nową arteryę komunikacyjną, której brak tak dotkliwie dawał się odczuwać.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy szereg illustracyi, przedstawiających widok 3-go mostu i wiaduktu, komisyę, która dokonała przyjęcia mostu, oraz wjazd artyleryi na nowy most, celem wypróbowania jego wytrzymałości.



Nowa arterya komunikacyjna w Warszawie: Komisya przyjmująca trzeci most na Wiśle. 1) warszawski jenerał-gubernator Skałłon, 2) prezydent m. Warszawy Zaremba, 3) kierownik budowy mostu inżynier Lubicki. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Koncert 600 dzieci w Krakowie: Grupa młodzieży szkolnej, biorącej udział w koncercie na dochód kolonii wakacyjnych.



Z letniego karnawału: Wycieczka Stow. pracowników handl. i przem. m. Warszawy w Skolimowie. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

W interesie polskiego handlu.

Najważniejszym warunkiem pomyślnego rozwoju każdego zawodu jest należyte wykształcenie fachowe. W tym kierunku pracuje też gorliwie kupiectwo krakowskie, dokładając wszelkich starań, aby utrzymać godnie honor swego stanu, a stać się to może jedynie przez odpowiednie przygotowanie młodego pokolenia do późniejszej pracy zawodowej i obywatelskiej.

Praktykant handlowy, nim zostanie samodzielnym pomocnikiem, kształci się lat kilka w zawodowej pracy pod okiem swego pryncypała, równocześnie zaś nabywa potrzebnych wiadomości ogólnych w Szkole handlowej, urządzonej dzięki staraniom krakowskiego kupiectwa i poparciu władz przy c. k. Akademii handlowej.

Nauka, prowadzona pod energicznem kierownictwem dyrektora Kannenberga przez wybitnych krakowskich pedagogów, trwa trzy lata, a ukończenie jej jest koniecznym warunkiem do uzyskania tak zwanego „wypisu“ na pomocnika handlowego.



Sport na usługach krajoznawstwa: Grupa członków Warszaw. Tow. Cyklistów, objeżdżających na rowerach Królestwo Polskie z prezesem p. Fertnerem (X) na czele. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

Sport na usługach krajoznawstwa.

Żyjemy w dobie najrozmaitszych sportów. Nie ulega jednak wątpliwości, że pierwsze miejsce wśród tych sportów zajmuje wioślarstwo i kolarstwo, łączące ćwiczenia ciała z podnioślejszemi rozrywkami ducha... Te dwa sporty, tak dodatnio wpływające na rozwój sił fizycznych, są również ważnym czynnikiem na polu krajoznawstwa... Wioślarz i cyklista nie tylko wzmacnia swe ciało, ale w licznych wycieczkach poznaje piękności własnego kraju... Takiem połączeniem sportu z krajoznawstwem jest zorganizowana niedawno wycieczka członków Warszawskiego Towarzystwa cyklistów, którzy na rowerach objeżdżają całe Królestwo Polskie..

Illustracya nasza przedstawia grupę tych cyklistów - turystów, z prezesem Warszawskiego Tow. cyklistów, p. Fertnerem, na czele.



W interesie polskiego handlu: Grono nauczycielskie i uczniowie III. kursu szkoły handlowej w Krakowie.

CLARK RUSSELL.

W ODMĘTACH OCEANU.

13

— Słuchajcie! co to? — zawołała Helga. Z daleka doszedł do nas głos, jakgdyby huczały fale przybrzeżne. Oślepiająca błyskawica zajaśniała przez okna i zaćmiła na chwilę światło lampy. W tej chwili okno górne zostało gwałtownie zatrzaśnięte i rozciągnięto na niem koc.

— Moje ubranie ceratowe, Pnumeamootty! — krzyknął przez drzwi kapitan.

— Czyż to taki straszny deszcz? — zapytała Helga.

Tak, to był deszcz; prawdziwy potop, zmieszany z ogromnym gradem dudnił po pokładzie, sprawiając ogłuszający hałas. Trwało to kilka minut. Potem nagle nastała zupełna cisza i słychać było tylko huk fal morskich, ale głębszy, dzikszy, groźniejszy. Jeszcze kilka chwil trwała cisza, poczem pochwyciła nas burza w swe ramiona. Barka wywróciła się na bok, a olbrzymie fale raz po raz zalewały pokład.

Helga trzymała się stołu. Podemną złamał się stołek; wywróciłem się jak długi na ziemię, a na mnie spadło wszystko, co stało na stole. Leżałem otoczony szczątkami talerzy, nożami, widelcami, resztkami marmolady i jedzenia. Flaszka z wódką rozbiła się na kawałki. Helga głośno krzyknęła.

— Nic mi się nie stało — zawołałem.

Na górze rozlegały się ciągle wrzaski i okrzyki. Nagle burzę przebił trzask, jakgdyby strzelano z armaty.

— Pękł żagiel — zwróciłem się do Helgi.

Okręt kręcił się, wznosił i pokładał; ja wywracałem się co chwila i zaledwie mogłem pozbierać się z ziemi. Na szczęście nie poraniłem się na szkle, rozsypanem wokoło. Wyszedłem na pokład. Nieprzeniknione ciemności zakrywały wszystko. Kiedy chciałem się ruszyć dalej, wiatr rzucił mi w oczy takie masy deszczu, że oślepiło mnie na chwilę zupełnie. Burza szalała strasznie gwałtownie. Zdawało się, że jakaś przemożna siła podrywa nas do góry, a następnie ze strasznej wysokości rzuca znowu w przepaść. Cały okręt trzeszczał, stękał i drżał we wszystkich swych częściach; robiło to wrażenie jakby tysiące niewolników było zamkniętych w lochu i jęczało.

Zlazłem znowu do kajuty.

— Dzisiaj jeszcze gorzej się dzieje, niż na „Aninie", Helgo — odezwałem się.

— Tak i wtedy burza także tak szalała. Ale ja nie boję się żadnej burzy tak, jak kapitana Buntinga i jego uśmiechu. Pewnie zaraz tu przyjdzie. Wolę już w takim razie iść spać.

Prawie kwadrans potrzebowaliśmy, zanim dostaliśmy się do zapadni, prowadzącej na dół. Musieliśmy się trzymać przedmiotów i w ten sposób posuwaliśmy się naprzód. Drzwi były zamknięte, otworzyłem je i spojrzałem w dół, który wyglądał jak otwór kopalni węgla. Jak mogłem najdonośniej, wołałem Pnumeamoottę. Po chwili zjawił się na czworakach, przemoczony do nitki, gdyż na górze fale ciągle zalewały pokład.

Potykając się i prawie przewracając co chwila, przyniósł latarnię, Helga z nadzwyczajną pewnością siebie spuściła się w dół, a ja podałem jej latarnię z prośbą, aby ją zawiesiła i zostawiła palącą się, ponieważ ja chcę jeszcze wyjrzeć na świat i zapalić fajkę.

Dotarłem potem z powrotem do kajuty, a Pnumeamootty, który za mną przyszedł, z przerażeniem ujrzał stos gruzów na ziemi. Pogroził w przestrzeń zaciśniętą pięścią.

— My wszyscy mówić, że burza przyjść, bo kapitan zły człowiek!

Ponieważ przemarzłem na dworze w deszczu, podszedłem, trzymając się ścian do szafy i wydobyłem flaszkę z rumem. W tej chwili otworzyły się drzwi i wszedł kapitan. Wąs zwieszał mu się w dół, przesycony wodą, a z ubrania spływały formalne strugi.

Trzymając się brzegu stołu, wskazał swym grubym palcem na spustoszenie, jakiego widownią była podłoga, zasiana szczątkami naszej uczty i krzyknął wściekły do Pnumeamootta:

— Kto to zrobił?

— Przypadek, kapitanie — odpowiedziałem zgryźliwie. — Obrzydliwe, stare pudło, ten nasz okręt!

— Gdzie jest panna Nilsen?

— Poszła już spać — usiadłem na wierzchu małej szafki. — Pnumeamootty, podaj mi szklankę z szafy!

Pnumeamootty próbował spełnić rozkaz, ale upadł i rozbił szklankę.

— Przeklęty niezdaro! — grzmiał kapitan. — Łajdacki psie! Posprzątać! Ale prędko!

— Czy panna Helga wzięła ze sobą światło?

— Tak, latarnię.

— Ależ ona może upaść i upuścić latarnię. Przecież to niebezpiecznie, podczas takiej burzy.

— Jest ona zgrabniejsza, niż my wszyscy.

— Wszystko jedno — muszę sprawdzić, co się stało z latarnią panny Nilsen — oświadczył kapitan, zwracając się ku drzwiom.

Skoczyłem i zastąpiłem mu drogę.

— Żaden mężczyzna nie przekroczy progu sypialni panny Nilsen, dopóki ja jestem na okręcie.

Fala najrozmaitszych uczuć przeleciała przez twarz kapitana. Spojrzał na flaszkę, którą ciągle jeszcze trzymałem w ręce i nabrał przekonania, że jestem w tej chwili gotów bez namysłu rozpłatać mu nią łeb, w razie, gdyby chciał koniecznie wyjść. W każdym zaś razie mógł przypuszczać, że nie jestem całkiem trzeźwy.

— Mogę pana zapewnić — wyrzucił wreszcie z siebie,zmuszając się wysiłkiem woli do zachowania swego zwykłego spokoju — że mieszkanie panny Nilsen jest dla mnie równie święte, jak ono jest dla pana. Może pan sam skontroluje, co się dzieje ze światłem? Cały okręt znajduje się w niebezpieczeństwie.

Bez odpowiedzi postawiłem flaszkę znowu w szafie, i wzburzony opuściłem kajutę. Byłem przygotowany na walkę na pięści. Z progu już zawołałem na Pnumeamoottego, aby mi towarzyszył i zamknął zapadnię. Czy poszedł za mną, nie wiem; na dole zastałem latarnię palącą się, zgasiłem ją, a następnie rzuciłem się w ubraniu u siebie na łóżko. Długo nie mogłem usnąć, gdyż okręt skakał i podrygiwał jak piłka. Dwa razy zostałem wyrzucony z łóżka na ziemię, przyczem potłukłem się uczciwie. Wołałem kilkakrotnie na Helgę, ale w hałasie nie mogłem zrozumieć jej odpowiedzi.

Nad ranem obudziło mnie gwałtowne uderzenie fali, które jak iskra elektryczna wstrząsnęło całym statkiem. Spojrzałem przez okienko i zdawało mi się, że dnieje. Naciągnąłem buty i dowlokłem się do zapadni, prowadzącej na pokład, która jednak była zamknięta, tak iż nie mogłem wyjść. Zastanawiałem się chwilę, jak dać znać o sobie, wreszcie przyniosłem sobie deskę z mojego łóżka i zacząłem nią bombardować w zamknięte drzwi. Po kilku minutach otworzono mi, a z góry spojrzała na mnie znajoma twarz Jakóba, wyglądająca z pod zgniecionego kapelusza.

— Byłby pan długo jeszcze tłukł się w tej mysiej dziurze, panie Tregarthen, gdyby nie przypadek, że byłem ukryty w pobliżu, szukając schronienia przed falami.

Jak góry, sięgające prawie do szczytu masztów, szły na nas fale, rozbijając się na okręcie w pieniących się kaskadach. Barka płynęła przy pełnych żaglach. Z kolorowej załogi nie było widać nikogo. Jakób krzyknął mi do ucha, że wszyscy ze strachu są półżywi.

— Musi się im rozchodzić jeszcze o jakiś specyalny przesąd. Modlą się ciągle, jakby im kto za to płacił.

— Kto stoi na straży?

— Sternik — odpowiedział Jakób.

Zdumiałem się, kiedy dowiedziałem się, że to już ósma. Brzask dnia z trudnością przedzierał się przez ogromne masy deszczu.

Po chwili ukazała się z pod pokładu także Helga. Mimo ogromnych przechyleń okrętu szła ku mnie bardzo pewnym krokiem.

— Co za noc! — wołała z daleka. — Myślałam, że barka lada chwila rozleci się w kawałki.

Nie długo przebywaliśmy na pokładzie, gdyż mimo, iż posunęliśmy się już znacznie na południe, wiatr był ogromnie zimny. Poszliśmy więc do kajuty. Tam opowiedziałem Heldze, o co wczoraj z kapitanem się pokłóciłem.

— Jak długo trwa taka burza, nie możemy nic przedsiębrać — rzekła ze smutkiem. — Pański sen o Santa Cruz już się skończył. Ach, chciałabym, aby wszystkie maszty się połamały.

— Aby tylko sam statek cały pozostał — dodałem.

— Tak, żeby tylko statek ocalał! Wołałabym czternaście dni błąkać się po morzu na rozbitym statku, gdybym miała nadzieję, że w ten sposób uwolnię się z tego przykrego położenia.

Kończyła ostatnie słowa, gdy w drzwiach kajuty pojawił się kapitan. Powitał Helgę bardzo serdecznie, dowiadując się obszernie o jej zdrowiu, przyczem trzymał jej rękę mocno w swych dłoniach, nie puszczając jej mimo, iż Helga starała się rękę z tego uścisku oswobodzić.

— Chcę pana prosić o przebaczenie — zwrócił się następnie do mnie. — Wczoraj użyłem w rozmowie z panem wyrażenia, którego od lat już nie wymówiłem. Pan zechce jednak uwzględnić, że było wczoraj tyle okoliczności, które mnie rozdrażniły, że nawet najpobożniejszy człowiek nie byłby umiał panować nad sobą.

Odpowiedziałem ozięble, postanowiłem bowiem zachować się wobec niego z wielką rezerwą. Po chwili odszedł kapitan do swojej kajuty, aby poprawić swą toaletę. Przedtem jednak zawiadomił nas, że całą noc spędził na pokładzie, czuwając nad bezpieczeństwem okrętu, który od poniedziałku stał mu się jeszcze droższym. Po jego wyjściu opowiedziałem Heldze, jak dobitnie umie kapitan kląć.

— A więc naprawdę umie! — zaśmiała się.

Po jakimś kwadransie zjawił się kapitan z powrotem. Był wyświeżony, a z daleka już błyszczał czerwony jego krawat.

Ponieważ kucharz wobec burzy nie mógł rozpalić ognia, musieliśmy zadowolnić się zimnem mięsem i winem, z powodu czego kapitan Bunting rozpływał się formalnie w usprawiedliwieniach.

Ślepy by już poznał, że zakochał się beznadziejnie powyżej uszu w Heldze. Im bardziej zaś ona była zimna i powściągliwa, tem gorętszy się stawał. Nigdy nie byłbym przypuścił, że zarozumiałość może człowieka tak zaślepić.

— Pewnem jest — powiedziałem sobie w duchu — że przed Przylądkiem z nami się nie rozłączy, a w każdym razie wierzy święcie, że jeszcze przed trzydziestym czwartym stopniem zostanie przez Helgę przyjęty.

Nieskończenie wolno wlokły się godziny dnia. Zmęczeni i rozbici ciągłymi *salto mortale* okrętu siedzieliśmy przeważnie w kajucie. Kapitan przychodził i odchodził, a po obiedzie i ja wyszedłem na pokład, aby w towarzystwie Jakóba wypalić fajkę. Ukryliśmy się za szalowaniem, aby spokojnie módz rozmawiać. Jakób zawiadomił mnie, że między załogą znowu panuje niezadowolenie.

— Ciągle jest to samo — opowiadał — dostali znowu wieprzowinę. Przecież ostatecznie dzisiaj wszystko jedno co jedzą, wobec tego, że i tak się dziś nie gotuje. Zdaje się jednak, że dłużej nie pozwolą na takie ich traktowanie. Kiedy Nakir, ma się rozumieć w ich języku, zawiadomił ich o tem, że znowu będzie wieprzowina, zaczęli krzyczeć i wrzeszczeć jak opętani, a jeden zaczął nawet wywijać nożem. Kiedy to zobaczyłem, schowałem się dobrze na mojem łóżku, przyciskając się do ściany i pomyślałem sobie bowiem, że jeśli się wściekni e i zachoruje na amok*) nie chcę być pierwszym, którego zabije.

— Jak długo trwały awantury? — zapytałem.

— Nie długo! — Nakir przemówił do nich, poczem wszyscy się uspokoili. Wykrzywiali tylko wściekle twarze i zaciskali groźnie pięści. Powiadam panu, na ten widok z pewnością i niedźwiedź polarny byłby się pocił.

— Cóż myśli Abraham o tej całej sprawie?

— O, ten nie bierze całej sprawy poważnie, ma się już dzisiaj za oficera i trzyma z kapitanem.

— Kapitan zupełnie zwaryował, inaczej przecież zastanowiłby się nad tem, że swymi głupimi próbami nawracania dąży do nieszczęścia — oświadczyłem. — Mnie ostatecznie nic nie będzie szkodziło, jeśli marynarze się zbuntują i okręt siłą zaprowadzą do Madery, albo wysp Kanaryjskich.

— Abraham opowiadał mi, że kapitan zakochał się w tej młodej damie. Ostatecznie nic dziwnego! — dowodził Jakób z uśmiechem, przyczem bardzo chytrze na mnie spojrzał. — Mogę sobie wyobrazić, jak pan niespokojnie na to wszystko patrzy! Ja także przechodziłem takie historye i wiem, co znaczy zazdrość...

Szybko odwróciłem rozmowę na inny temat i zacząłem się go znowu wypytywać o Malajczyków. W końcu odszedłem do kajuty.

Tutaj w półmroku rozróżniłem postać kapitana tuż obok Helgi. Dowodził jej coś gwałtownie, nachyliwszy się ku niej. Kiedy mnie ujrzał, urwał nagle rozmowę i zapytał:

— No, jakże tam na górze?

— Pogoda nie może być gorsza, a burza bawi się statkiem jak piłką.

— Zapewne okręt jest stary, ale doskonały i wytrzyma więcej niż niejeden nowy i tak zwany ele-

*) Amok jest chorobą znaną na południu, rodzaj obłędu. Ludzie dotknięci amokiem lecą szybko prosto przed siebie i zabijają kogo napotykają.

gancki — oświadczył dumnie kapitan. Wyjął następnie z szafy duży płaszcz i ubrał się w niego. — Miejmy nadzieję, że pan już nie długo będzie musiał tu pozostać. W każdym razie spodziewałem się, że pan wobec mnie będzie uprzejmiejszy, panie Tregarthen.

— Nie wiem, na czem pan opierał swe przypuszczenia — odpowiedziałem ostro. — Ale wreszcie, czy nam co pomoże sprzeczać się o to? Proszę pana, kapitanie, uważać mnie za człowieka zupełnie obcego i w ten sposób ułożyć nasz stosunek, jak długo będę miał to nieszczęście, razem z panem na statku przebywać.

— Nie — oświadczył, przypinając podpinkę kapelusza — nie jak obcy! Nie sądzę jednak, abyśmy długo jeszcze mieli razem pozostawać — dodał z naciskiem — tymczasem proszę starać się być zadowolonym. Zadowolenie jest największem szczęściem, a kto je posiadł, jest najbogatszy.

Przez chwilę zatrzymał się, jakby chciał odezwać się do Helgi, która stała odwrócona do nas tyłem, rozmyślił się jednak i opuścił kajutę.

— Helgo! co on z tobą mówił? — zawołałem, kiedy zostaliśmy sami.

Podeszła do mnie i uchwyciła się mego ramienia, spuszczając oczy ku ziemi, z silnymi rumieńcami na twarzy. Jakżeż kochanie wyglądała! Włosy jej błyszczały, jak złoty bursztyn.

— Powiedział mi, że mnie kocha! — odpowiedziała wreszcie, spoglądając mi śmiało i szczerze w oczy.

— A to sobie dobry czas wyszukał na oświadczyny! Akurat kapitan statku musi w czasie gwałtownej burzy przedstawiać propozycye małżeńskie młodej dziewczynie!

Zazdrość podnieciła we mnie niedowierzanie.

— A co pani na to odpowiedziała?

— Nienawidzę go, ale nie mogłam go bezwzględnie odepchnąć — opowiadała Helga. — Mówił mi o swej córce, prosto bardzo i naturalnie, bez afektacyi. Żal mi go się wreszcie zrobiło i nie mogłam dlatego po prostu wstać i odejść. Byłoby to za brutalne!

— Aha, dlatego to dał mi do zrozumienia, że moja obecność niedługo nie będzie tu już potrzebna! Wierzę teraz we wszystkie przysłowia o kobietach — zerwałem się i uwolniłem me ramię z palców Helgi. — Jeśli pani jeszcze dłużej nad nim się będzie litować, to pani wnet przestanie go nienawidzić.

Niebieskie oczy spojrzały w tej chwili na mnie z niemą prośbą i skargą i powoli napełniły się łzami. Smutek spojrzenia Helgi uśmierzył wnet moją zapalczywość i zazdrość. Ująłem jej małą rączkę i podniosłem do ust.

— Daruj mi Helgo! Nasze ciągłe przebywanie razem przyzwyczaiło mnie do tego, aby cię uważać za moją, aż... krótko mówiąc, jestem zazdrosny!

Spojrzała dziwnie na mnie. Ponieważ w tej chwili wszedł Pnumeamootty, aby stół nakryć, podeszła znowu do okna i wyglądała przez nie, zatopiona w swych myślach, przyczem jej smukła postać przeginała się zgrabnie razem z kołysaniem okrętu.

Noc śmierci.

Rano burza się uspokoiła. Gęste chmury rozpierzchły się i słońce wyjrzało znowu, zamieniając zimną szarość, ciągle jeszcze piętrzących się fal, na piękny kolor szafiru. Popołudniu uspokoiło się także i morze, a statek płynął przy łagodnym zachodnim wietrze pod pełnymi żaglami. Nadszedł przecudny wieczór. Miesiąc siał srebrne blaski po ciemnych falach, gwiazdy błyszczały i świeciły jasno jak na południu.

Helga używała ze mną czarów nocy, odbywając przechadzkę po pokładzie. Nie długo jednak byliśmy sami. Po chwili przyłączył się do nas kapitan.

— Nakir z dwoma towarzyszami był u mnie na dole — opowiadał. — Szkoda, że pani nie była przy tem. Zdaje się, iż wreszcie zaczynają nabierać rozumu.

Idąc za wewnętrznym popędem przerwałem uporczywe milczenie z mej strony i zapytałem, czego ci ludzie chcieli.

— Ciągle ta sama stara historya — odpowiedział głośno, nie dbając wcale o słuchających Malajczyków. — Domagają się wołowiny, tylko wołowiny. Oświadczyłem im jednak, że mogą ją dostać tylko na przemian z wieprzowiną.

Po prostu nie mogłem zrozumieć, jak człowiek ten może być tak nieopatrznym, aby podejmować tak niebezpieczny eksperyment. Skorzystałem też z chwilowej przerwy w jego opowiadaniu, aby mu powtórzyć obserwacye, poczynione przez Jakóba.

— Zapewne, panie Tregarthen — odpowiedział na to z lekką ironią — do przeprowadzenia takiej sprawy potrzeba człowieka z odwagą.

— Można być odważnym, a nie bardzo rozsądnym — zauważyłem rozdrażniony. — Pańscy ludzie zmienią się w dyabłów, jeśli ich się doprowadzi do ostateczności.

— Dowódzca łodzi ratunkowej powinien okazać więcej odwagi! Niech pani się nie przeraża słowami przyjaciela, panno Nilsen! Mój obowiązek jest zupełnie dla mnie jasny. Robię, co uznaję za słuszne.



Jak góry, sięgające prawie do szczytu masztów, szły na nas fale.

Dałem Heldze znak, aby milczała.

— Ten człowiek zupełnie zwaryował — szepnąłem jej — on jest wprost nieobliczalny.

Około dziesiątej Helga udała się na spoczynek, a po chwili i ja podążyłem za nią.

Gwałtowne uderzenia w drzwi sąsiedniej kajuty obudziły mnie nagle ze snu.

— Mr. Tregarthen! Mr. Tregarthen!

— Gdzie pan jest? — wołał jakiś ochrypły głos. — Na Boga! otwórz pan i wyjdź pan! Mordują i zabijają!

Poznałem zmieniony przerażeniem głos Abrahama i w tej samej chwili domyśliłem się, co się stało, nim mi jeszcze powiedział.

— Tutaj jestem! — krzyknąłem. — W ciemności namacałem drzwi i otworzyłem. — Gdzie jesteś, Abrahamie?

Wyciągnąłem rękę i napotkawszy jego dłoń, wciągnąłem go do środka.

— Załoga morduje! — wyjęczał. — Zabili sternika, a teraz załatwiają się z kapitanem...

— Gdzie jest Jakób?

— Bóg raczy wiedzieć!

— Czyś uzbrojony?

— Nie mam nic. Nie mogę opowiadać o tych okropnościach, tak w ciemności, z morderstwem za drzwiami, wyrzucał Abraham urywane zdania, prawie bez tchu.

— Co się dzieje! — rozległ się głos Helgi z jej kajuty.

— Otwórz prędko i wpuść nas do środka! — zawołałem. — W ciemności pani się ubierze! Malajczycy zbuntowali się i napadli na kapitana i sternika!

— Cicho!!

Słuchałem wzburzony, nic jednak nie było słychać, prócz zwykłych odgłosów, znanych dobrze na każdym statku.

Ciemno było, choć oko wykol; gwiazdy, które świeciły za oknem, nie oświecały zupełnie ciemności wewnątrz panującej.

— Co się właściwie stało? — dopytywała się Helga, ubierając się szybko po ciemku.

— Tssst!! — uciszyłem ją.

Nerwy moje były tak naprężone, że zdawało mi się, iż słyszę za drzwiami tupot bosych nóg po schodach. Pomyliłem się jednak.

— Bez światła nie mogę opowiadać — szepnął Abraham. — Czy nie ma tu latarni? Mam kilka zapałek przy sobie.

Po cichu wysunąłem się na korytarz i przyniosłem latarnię, przy której świetle spojrzeliśmy w nasze trupio blade twarze.

— Malajczycy nie będą godzić na nasze życie; przecież nic im nie zrobiliśmy — zauważyła Helga.

— Niech pani im nie wierzy! Czy nie macie niczego, coby można użyć jako broń? — zawołał Abraham. — Potem rozpoczął opowiadanie.

— Kiedy o ósmej godzinie zeszedłem na dół, zastałem Nakira i kilku jeszcze ludzi, żywo rozprawiających. Rozmowa ucichła, kiedy mnie tylko ujrzeli. Położyłem się i usnąłem na chwilę. Obudziłem się znowu i spojrzałem. W rogu stało kilku Malajczyków i rozmawiali, oglądali się co chwila na mnie, nie wiedzieli jednak, że ich jednem okiem śledzę.

Upłynęła może godzina, kiedy Nakir zawołał coś z góry po cichu i wszyscy wyskoczyli wtedy bez szelestu z łóżek i znikli. Kiedy przekonałem się, że w kajucie nie ma ani jednego, usiadłem na posłaniu i słuchałem. Po chwili rozległ się straszny krzyk: „Boże! ratunku! ratunku!". Pomyślałem, że teraz rzucą się na mnie, jeśli Jakób im się wcześniej pod rękę nie nawinie i popędziłem tutaj...

Drżącą ręką obtarł sobie pot z czoła.

— Czy sądzicie, że i kapitana także zabili? — zapytała Helga.

— Bez wątpienia! podzielili się na dwa oddziały.

— Czyż ja tego nie przepowiadałem? — zawołałem. — Człowiecze, gdzie podziałeś twój rozsądek? Czego możemy się spodziewać od tych dyabłów, którzy nienawidzą nas już z powodu pobudek religijnych?

— Słuchajcie! — szepnęła Helga — miałam w tej chwili wrażenie, jakby coś wpadło do morza.

— Oby tylko nie napadli na mojego biednego towarzysza — zawołał Abraham. — Na Boga! toby było straszne, stracić najpierw jednego, potem drugiego!

— Kto z nich umie prowadzić okręt? — spytała Helga.

— Nikt, wiem o tem dokładnie z opowiadań Nakira.

— Czy mamy tutaj siedzieć, jak szczury w pułapce, albo, gdy wyłamią drzwi, pozwolić się gołymi rękoma wziąć, jak bezbronne dzieci? — zawołałem.

— Z każdym z nich w pojedynkę dałbym sobie radę — odpowiedział Abraham, nabierając rozgłośnie tchu i spluwając w potężne swe kułaki. — Ale podejmować walkę z wszystkimi tymi krwiożerczymi bestyami... potrząsnął głową.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nad świeżą mogiłą.

Przed kilkunastu dniami zmarł zdala od ojczyzny, pod jasnem niebem południa, jeden z dzielniejszych pracowników na niwie dziennikarskiej w Krakowie, ś. p. Stanisław Kopernicki. Urodzony w roku 1868 w Bukareszcie, kończył studya w Krakowie, poczem oddał się pracy w zawodzie dziennikarskim.



Nad świeżą mogiłą: Ś. p. Stanisław Kopernicki, redaktor „Czasu".
(Fot. Jabłoński, Kraków).



Wojna w parlamencie: Poseł Hedervary (X) wypłazowany na posiedzeniu Sejmu węgierskiego przez dowódcę straży parlamentarnej, kapitana Gore.

Rozpoczął ją wcześnie, jeszcze na ławie uniwersyteckiej, wstępując w roku 1893 do redakcyi „Czasu". Kolejno pracował w różnych działach pisma, składając w każdym dowody prawdziwego talentu, pracowitości i erudycyi. Przez szereg lat miał powierzone wydanie poranne „Czasu", a następnie objął kierunek techniczny wydania wieczornego.

Poza swą pracą zawodową zajmował się gorąco sportami. W jego ręku ruch sportowy przyniósł nieoczekiwane rezultaty, a „Cracovia" zawdzięcza mu swe powstanie i rozwój.

Zmarły brał także żywy udział w pracach około rozwoju Towarzystwa dziennikarzy we Lwowie.

Zwłoki ś. p. Kopernickiego sprowadzono do Krakowa i tu złożono na wieczny spoczynek.

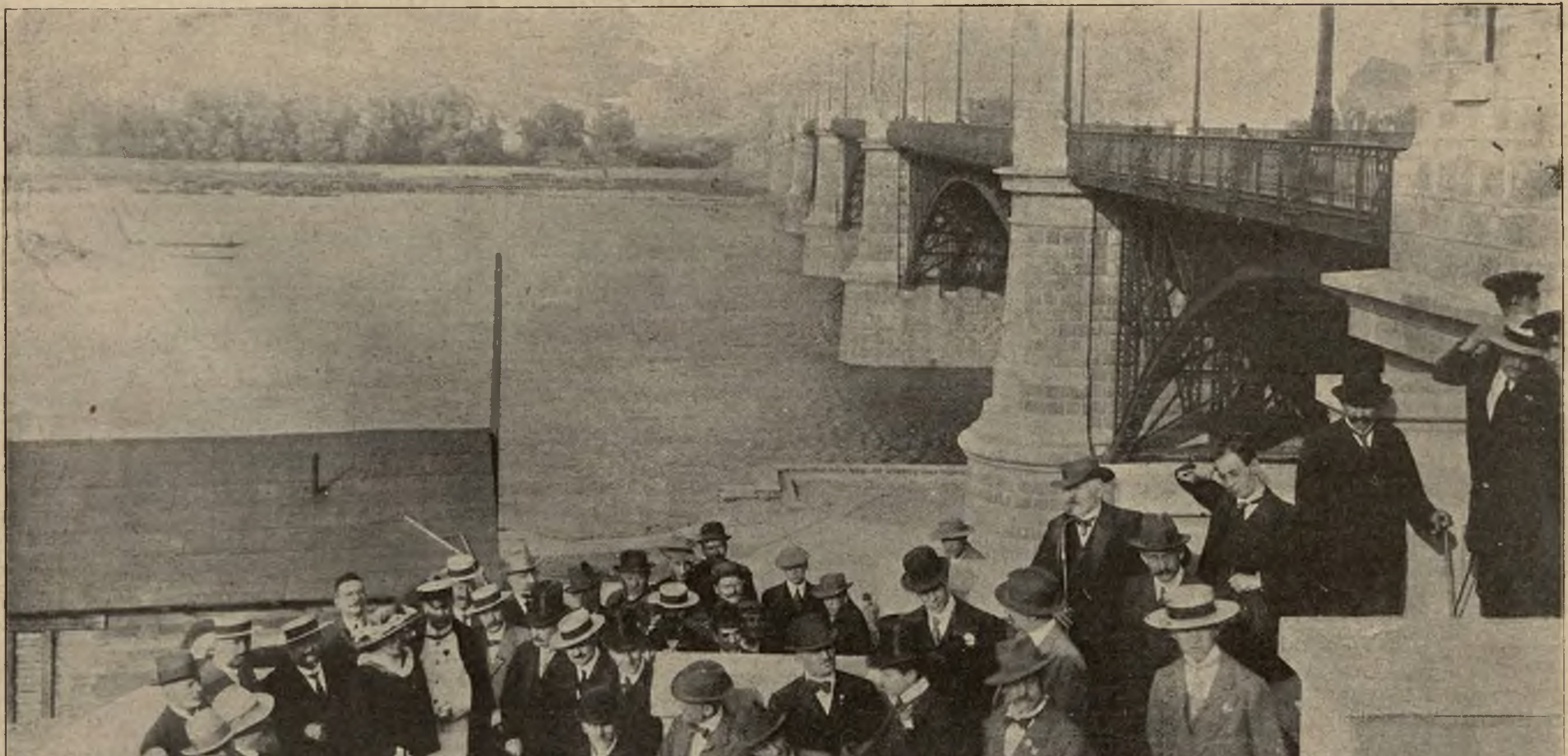
Nowy król kurkowy w Krakowie.

Prastare bractwo strzeleckie krakowskie obchodziło bardzo uroczyście ubiegłą niedzielę. Ustąpił stary król kurkowy, a ostatni kawałek kura królewskiego w ostrem strzelaniu strącił nowy władca. W tym roku został nim znany kupiec i przemysłowiec krakowski, p. Józef Bialik.

Intronizacya nowego króla „braci strzeleckiej" odbyła się bardzo uroczyście. Wobec licznie zgromadzonej publiczności wprowadzono go uroczyście do sali głównej Towarzystwa. Tutaj przemówił do niego prezes Towarzystwa poseł J. K. Federowicz i wręczył mu insygnia królewskie i srebrnego kura. Za najlepsze strzały marszałkami wybrani zostali radca dr. Schneider i p. Stefan Iglicki.

Po ceremonii wręczenia odznak wyruszył uroczysty pochód do ogrodu Strzeleckiego.

Wieczorem podejmował nowy król brać strzelecką uroczystym bankietem.



Nowa arterya komunikacyjna w Warszawie: Wycieczka włoska z Turynu zwiedza oddany w dniu ósmego b. m. do użytku publicznego trzeci most na Wiśle.

Kronika tygodniowa.

A jednak Medard się spisał!

Niedziela, dnia ósmego czerwca, była pierwszą prawdziwie ładną, słońce bowiem zbyt nie dogrzewało, deszcz nie padał, a co najważniejsze, nie było wyjątkowo dnia kwiatka, można więc było spokojnie wyjść na plantacye lub na Błonia.

Wycieczek było kilkanaście, festynów też sporo, prym między nimi wiodła intronizacya nowego króla jegomości na krakowskiej Strzelnicy. Na królewskim stolcu zasiadł pan radca Bialik, ustrzeliwszy ostatni szczątek kura. Radowała się brać strzelecka, pukały popołudniu flinty i moździerze, wieczorem korki szampanowe, gdy wznoszono zdrowie jego królewskiej mości.

Prognoza meteorologiczna na lato jest więc dość pomyślna, pogoda w dzień św. Medarda zwiastuje pogodę przez dni czterdzieści, czyli, innemi mówiąc słowy, zamiast brodzić po błocie, będziemy się pocić i przeklinać tego, kto wymyślił gorąca.

A tu, jak na złość, nawet wody pić nie można, gdyż coś się tam na Bielanach popsuło i zamiast kryształowego nektaru kapie z rur wodociągowych jakiś żółty barszczyk.

Ci, którzy używają wody do mycia, są w kłopocie, ci zaś, którzy ją piją, są w lepszem daleko położeniu, zamiast niej bowiem mogą smacznym pilznerkiem ugasić swe pragnienie.

Ktoś mi w mieście opowiadał, że to zamącenie wody urządzono z rozmysłem, na wyraźny rozkaz prezydyum magistratu, aby ludności rodzaju męskiego dać sposobność porozumienia się co do wybrać się się mających kandydatów. A wiadomo, że polityczną dyskusyę najwygodniej prowadzić w knajpce.

Biuro statystyczne miejskie zapisuje też wzmożoną konsumcyę pilznera, okocimera, żywca i innych podobnych płynów, choć znakomity praktyk w tym kierunku, pan Onufry Gwóźdź twierdzi stanowczo, że najlepszym środkiem na ochłodzenie jest spory kielich silnej z mocną lub głąbikowej w kratkę.

— Bo to, uważo pon literata, jak człek łyknie sobie kielich, to cała goroncość z ciała zbiera się na wnątrzu, więc skóra chłódnie — tłumaczył mi mój interlokutor.

— A czy nie możnaby w tym celu użyć naprzykład morelówki? — zapytałem.

— Nie!... Musi być silna z mocną! — zakonkludował, splunął i poszedł jeszcze na jeden kieliszek, aby, jak powiada „dokumentnie się ostudzić“...

Co się tyczy wyborów, to, jak dotąd, wiemy o kandydaturze z miasta pp. Bandrowskiego i Landaua, pozatem musi wyjść z urny p. prezydent Leo i ktoś czwarty, w każdym razie nie pan Federowicz, który ma kandydować z Izby handlowej, gdzie nie trzeba zbyt forsownie agitować za sobą.

Różnych kandydatów nie brakuje u nas, owszem, ponieważ teraz zbliża się sezon grzybowy i oni mnożą się, jak grzyby po deszczu.

Hyeny węszą i przygotowują się do wyborów, są jednak w strachu, gdyż grozi im konkurencya i to bardzo poważna, ze strony prawdziwych hyen, które przywiózł nad Wisłę pan Kludsky, dyrektor wielkiego cyrku i menażeryi.

W „Gazecie cyrkowej“, której pojawienie się poprzedziło przybycie cyrku, czytamy, że pan dyrektor Kludsky, prócz swej ukochanej sztuki, prócz koni i dzikich zwierząt, interesuje się wszystkiem, co się dzieje w świecie.

Gdy więc doszło do jego wiadomości, że piękny Kraków, prastara stolica Polski, powiększyła swój teren i wzorem wielkich miast rozpostarła się szeroko poza dotychczasowe granice, postanowił zaznaczyć, że przybywa rzeczywiście do wielkiego Krakowa i namioty swe rozbił na Podgórzu. W ten sposób zadokumentował on jedność obu miast, która się w ten sposób ma objawić, iż Krakowianie zawiozą na Podgórze swe pieniądze do jego kasy.

Ale pan Kludsky jest także i troszkę złośliwy. Czytamy tam, co następuje:

„W upalne dni, jakie obecnie panują, dostarcza poblizka Wisła miłego chłodu, a spacer w antraktach nad jej brzegami przy odrobinie fantazyi da zupełne złudzenie promenady po bulwarach, które miastu obiecuje w d a l e k i e j p r z y s z ł o ś c i czcigodny jego burmistrz“.

O którym burmistrzu, krakowskim, czy podgórskim mowa, nie mogłem się domyśleć, zdaje mi się przecież, że chyba o podgórskim, bo w Krakowie mamy pana prezydenta, a nie jakiegoś tam burmistrza.

Poznał też dobrze nasze stosunki pan Kludsky, bo dalej pisze:

„A między nami mówiąc i strasznie słone ceny placów w centrum miasta nie były dla mnie wielką zachętą, by tam się usadowić“.

Dobrze przynajmniej, że podpisano już układ o przyłączenie Podgórza do Krakowa, gdyż dziś Podgórzanie stawialiby daleko cięższe warunki, motywując to tem, iż Kraków korzysta z Podgórza, skoro tam chodzi do cyrku, tak, jak oni używają teatru, uniwersytetu i t. d.

Na uroczystość podpisania układu zjechał do Krakowa słynny pan Putyra-Połotyński, tym razem jako książę Gedroyć i przywiózł ze sobą całą masę pieczęci, dokumentów i t. d., niestety, nie mógł wziąć udziału, gdyż niegrzeczna policya ulokowała go tymczasowo w swych gościnnych apartamentach „pod Telegrafem“.

Te wszystkie odwiedziny to przecież jeszcze nic w porównaniu z wizytą, jaką nad Wisłą miała w tych dniach złożyć prawdziwa, żywa, angielska sufrażystka, aby wygłosić tutaj odczyt o stosunkach, jakie panują w Londynie.

Nie jestem denuncyantem, ani nawet konfidentem c. k. Dyrekcyi policyi, zwracam jednak jej uwagę, że na coś podobnego nie powinno się stanowczo pozwolić! Proszę sobie wyobrazić, jakie to może mieć dla nas nieobliczalne skutki.

Że mnogość krakowskich dam pospieszy na prelekcyę, o tem wątpić nie należało, trzeba przecież pamiętać, że nie umieją one po angielsku (choć niejedna z nich na angielską chorobę w młodości cierpiała). Ponieważ zaś każda niewiasta obdarzona jest z natury bujną fantazyą, zacznie sobie wyobrażać, co to prelegentka nagadała i gotowiśmy mieć w Krakowie babską rewolucyę, gorszą od tej, jaką gazety notują w Londynie, zwłaszcza, że nasze magnifiki są bardziej porywcze od flegmatycznych Angielek.

I kto wie, czy pewnego dnia nie usłyszymy wołania chłopców, roznoszących pisma:

— Straszna zbrodnia krakowskich sufrażystek! Wysadzenie w powietrze Sukiennic i pałacu Larysza... Panna Dulębianka prezesem Koła Polskiego...

Aby tego uniknąć, trzeba „łeb uciąć hydrze“ i wynaleźć jakąś n. p. zarazę pyskową lub racicową, na której to podstawie możnaby zakazać zgromadzenia niewiast, a sufrażystkę szupasem odstawić do najbliższej granicy.

W okresie przedwyborczym dzieją się przecież takie cuda.

Niestety, wołanie moje jest tylko „głosem wołającego na pustyni“, odczyt bowiem naznaczony był na poniedziałek, dziś zaś mamy, dzięki Bogu, już czwartek. Pomyliłem się także, twierdząc, że wygłosi go zacna sufrażystka po angielsku, zapowiedziano bowiem wygłoszenie po niemiecku.

Kto zresztą ciekawy, niech czyta pisma codzienne, tam znajdzie szczegóły. Ja nie wiem nawet, czy się odczyt odbył, że sufrażystkami nie chcę mieć nic wspólnego.

Krakowska rada miejska zajmuje się dyskusyą budżetową, nie pozbawioną przecież pewnego odcienia politycznego. Dziś już taka moda, że każdy polityk"uje, nawet dziecko w powijakach.

Wedle przedstawienia referentów, budżet miejski na r. 1913, dochodzący do ośmiu milionów koron, zamyka się niewielką nadwyżką, złośliwi jednak powiadają, że jest zbyt kunsztownie zestawiony, właściwie bowiem powinien wykazywać dość poważny deficyt, czemu ostatecznie i dziwić się nie należy, gdyż wydatki Wielkiego Krakowa wzrosły do niemożliwości, trudno zaś wynaleźć źródło nowego dochodu.

Przy tej sposobności warto się nad jedną rzeczą zastanowić.

Według ustawy od wszelkiego rodzaju widowisk opłaca się dziesięcio a nawet dwudziestoprocentowy dodatek na fundusz ubogich. Na ten cel obracane są różne grzywny, jakie nakłada sąd i policya, opłaty za tak zwane „przezczasy“ i t. d. Fundusz ubogich powinien więc być wcale pokaźny, w następstwie czego nie powinno się widzieć wcale żebraków, którzyby musieli uciekać się do dobroczynności poszczególnych mieszkańców.

Tak jednak nie jest. Dziadów, odbywających co sobotę tradycyjne „corso“ po sklepach i t. d. jest cały legion, gdy im się zaś zwróci uwagę, że po zapomogę mają się zwrócić do magistratu, słyszy się stereotypową odpowiedź:

— Ba, dobrodzieju! Tam mają szczęście tylko wstydzący się pracować!...

Swoją drogą, tak zwanych „pańskich dziadów“ jest w Krakowie pokaźna liczba, sporo więc potrzeba pieniędzy na zapomogi dla nich, aby mogli żyć odpowiednio do swej towarzyskiej i społecznej pozycyi. Są to zaś bardzo wymagające osoby, nie zadowalające się byle czem!

A nie tylko krakowska Rada zajmuje się kwestyą budżetową, nad tem samem deliberują i posłowie parlamentarni, wentylujący także budżet i nie mogący w żaden sposób dojść do porozumienia. Ukraińcy dotrzymują słowa, nie myślą się wcale zająć uchwaleniem małego planu finansowego, który ma podobno przynieść państwu wielkie zyski, a w ten sposób obiecują postępować aż do chwili definitywnego wprowadzenia reformy wyborczej do sejmu.

Od małego planu zawisła zaś pragmatyka służbowa, różne zapomogi i t. d., a kto wie, czy przypadkiem i nie dymisya ministra Zaleskiego... Na jego miejsce jest już sporo kandydatów!

O awanturach w sejmie węgierskim nie mam wcale wspominać ochoty, obie połowy monarchii nie mają sobie powodu zazdrość. Austrya ma Redla, Węgry mają swojego Lukacsa, którego opinia publiczna nazywa „największym panamistą teraźniejszości“.

To jednak najgorsze, że dzięki niepokojom w Budapeszcie podrożała papryka, a w ślad za nią gulasz. Jest to zresztą objaw zwykły, krakowscy restauratorzy przynajmniej raz w miesiącu podnoszą ceny potraw, zmniejszając równocześnie wielkość porcyi. Na jadłospisach powinny widnieć nagłówki: Ceny operowe.

Natomiast wino węgierskie nie zdrożało wcale, albowiem, pamiętając o haśle: Popierajmy przemysł krajowy!... nie sprowadzamy go z Węgier, ale wyrabiamy u siebie na miejscu.

Zakończenie kroniki tygodniowej poświęcić muszę wędrówce teatrów. Krakowska drużyna Melpomeny zbiera oklaski we Lwowie, lwowska w Paryżu i Krakowie.

Lwowianie zazdroszczą Krakowowi, że teatr jego nosi miano pierwszej polskiej sceny, przekonali się jednak na własne oczy, że słusznie. Prasa lwowska nie ma słów uznania dla dyrektora Solskiego i jego drużyny.

My im zaś nie zazdrościmy wcale, choć nie mielibyśmy nic przeciw temu, gdyby n. p. pani Miłowska zechciała na stałe osiąść w Krakowie. Na razie dziękujemy Opatrzności za to, że bodaj przez dwa miesiące w roku możemy podziwiać Cnotliwą Zuzannę.

Jak już poprzednio zaznaczyłem, pani Miłowska zdobyła szturmem (jak zresztą co roku) sympatye trudno zapalnych Krakowian rodzaju męskiego (bez różnicy wieku), rodzaj żeński natomiast wzdycha do pana Kuligowskiego i powiada sobie w duchu:

— Ach, jaka szkoda, że on żonaty!

I ja powiadam zupełnie to samo, ale o sobie. Zbliżają się wakacye, żona moja i pociechy dopominają się gwałtownie, obkąd tego roku wyjeżdżamy na letnie wywczasy. Ja staram się im wytłumaczyć, że właśnie we wakacye pobyt w Krakowie jest najprzyjemniejszy.

Jeśli mi się nie uda przekonać ich, kto wie, czy na starość nie będzie człowiek musiał zabawić się w hyenę wyborczą, aby coś zarobić!

Z półek księgarskich.

„Głos obrońców“ pod redakcyą Dr. Zygmunta Mandla zawiera w pierwszym numerze następujące rozprawki i artykuły: Prof. Dr. Antoni Górski: Weksel. Dr. Zygmunt Marek: Do Kolegów. Dr. Rudolf Frühling: Droga do celu. Dr. Michał Danielak: Kary porządkowe przeciw adwokatom. Epilog złożenia obrony. Wniosek posła Dr. Lewickiego. Sędzia w nędzy. Niezależność sędziowska. Dr. W. Goldblatt: Indykatura Trybunału Kasacyjnego. Krakowska Izba adwokacka.

„Głos obrońców“, jako organ Związku obrońców, Stowarzyszenia adwokatów i kandydatów adwokackich, stoi na straży interesów i godności palestry polskiej.

Polska Spółka górnicza.

Nowsze badania naszych geologów, jak dr. Wójcika i profesora dr. Grzybowskiego, wykazały prawdopodobieństwo rozciągania się formacyi węglowej daleko na wschód, aż poza Kraków. Szczególniej monografie prof. Grzybowskiego, ogłoszone również i w zagranicznych czasopismach fachowych, wzbudziły przedewszystkiem za granicą zainteresowanie, tak, że zaczęli się zgłaszać niemieccy kapitaliści, którzy mieli zamiar wykupić tereny wyłącznościowe pod Krakowem i przeprowadzić głębokie wiercenia.

Groziło więc niebezpieczeństwo, że tuż pod Krakowem osiedli się kapitał niemiecki, że i te szczupłe resztki terenów węglowych przejdą w obce ręce.

Grono osób, zajmujących się żywiej górnictwem krajowem, postanowiło stworzyć Spółkę polską dla zbadania tych terenów. Utworzył się komitet, złożony z pp. prof. Grzybowskiego, mecenasa dr. T. Iskrzyckiego, dyrektora J. Strzyżowskiego, J. Kwiatkowskiego, inżyniera W. Koszki i J. Hromka, który zaapelował wprost do naszego społeczeństwa, zapraszając do subskrypcyi.

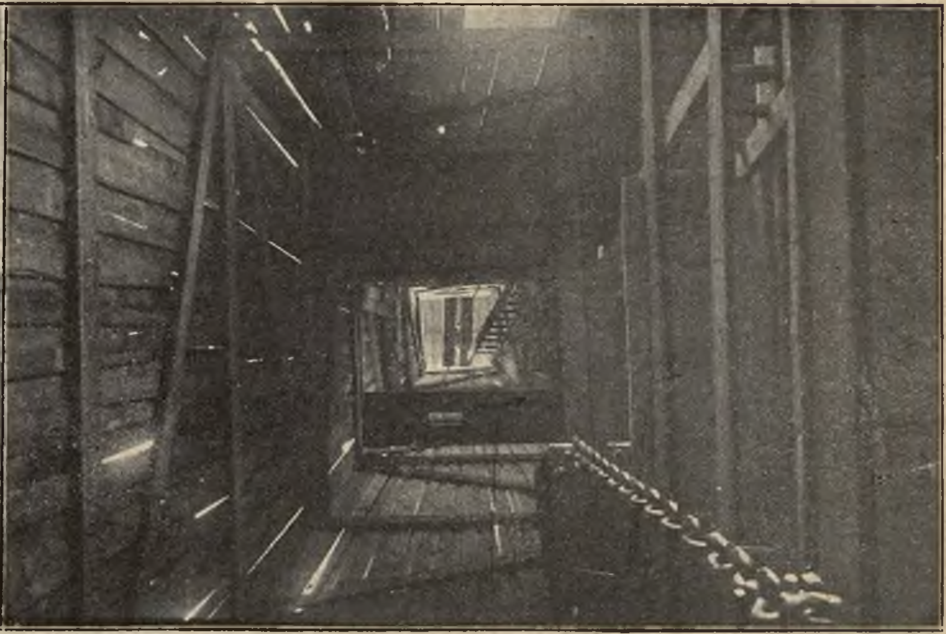
Rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania. W niespełna miesiąc po otwarciu subskrypcyi, dnia 5-go kwietnia b. r. odbyło się walne zgromadzenie, na którem zawiązała się „Polska Spółka górnicza“ z kapitałem 183,000 K. Społeczeństwo nasze zrozumiało doniosłość sprawy i mimo olbrzymiej depresyi finansowej w kraju, pospieszyło z pomocą polskiej inicyatywie.

Po zamknięciu subskrypcyi zgłosiła swe przystąpienie do Polskiej Sp. górn. gmina miasta Krakowa z udziałem 10.000 K. i cały szereg osób, tak, że w najbliższym czasie zwołane zostanie walne zgromadzenie celem przyjęcia nowych udziałowców i podwyższenia kapitału zakładowego. Jest nadzieja, że Polska Spółka górn. po powiększeniu kapitału będzie mogła rozszerzyć swą działalność i na sąsiednie tereny węglowe, temsamem zwiększyć szanse powodzenia całego przedsiębiorstwa, zmniejszyć ryzyko swych udziałowców i ocalić bardzo poważne terytorya przed stratą na rzecz kapitału obcego.

Dyrekcyę Polskiej Spółki górn. stanowią: pp. prof. Grzybowski, mecenas dr. Tadeusz Iskrzycki, Jan Kwiatkowski, Józef Dorawski i inżynier Antoni Schmidt. W skład Rady nadzorczej wchodzą: pp. dyrektor Fr. Aywas, eksc. Władysław Długosz, ks. dr. Józef Caputa, prezydent Jan Kanty Federowicz, prof. dr. Józef Łazarski i dyr. Józef Strzyżowski.

Uroczyste otwarcie pierwszego szybu wiertni-





Polska Spółka górnicza: Ogólny widok nowego szybu w Kurdwanowie pod Krakowem. Wnętrze wieży szybowej, wysokiej 18 i pół m., widziane z dołu.



Nowy król kurkowy w Krakowie: Członkowie krakowskiego Towarzystwa strzeleckiego z nowym królem kurkowym p. Józefem Bialikiem w pośrodku.

(Fot. Pawlikowski, Kraków).

czego Spółki odbyło się przed kilku dniami pod Krakowem w Kurdwanowie. Wobec licznego grona gości i dziennikarzy zagłębił się w ziemię pierwszy świder, który ma przynieść ziemi krakowskiej nowe wielkie skarby.




Polska Spółka górnicza:
Grupa robotników wewnątrz szybu w chwili rozpoczęcia robót wiertniczych. Grupa gości, obecnych na uroczystości rozpoczęcia robót wiertniczych w Kurdwanowie.

Szyb rozpoczął pracę, a najdalej za trzy miesiące będziemy już wiedzieć, jakie skarby kryje ziemia krakowska w swem łonie.

Szalony czyn sufrażystki.

„Wszystko już było“ — jak powiedział Ben Akiba... Sufrażystki angielskie starają się jednak zadać kłam temu twierdzeniu i dopuszczają się takich wybryków i szaleństw, o których przedtem nikomu się nie śniło... Aby wykazać... dojrzałość kobiet do praw politycznych, wybijają szyby, niszczą dzieła sztuki, podpalają budynki i podrzucają bomby nawet w świątyniach... Wszystko to czynią dla idei... równouprawnienia kobiecego! Obecnie jedna z tych wojowniczych Angielek, miss Wilding Dawidson, postanowiła zaćmić jeszcze swe towarzyszki i zademonstrować przeciw przebrzydłemu rodzajowi męskiemu w sposób zgoła niezwykły, a przytem tragiczny... Podczas wielkich wyścigów angielskich wobec 400.000 tłumów i pary królewskiej wyskoczyła nagle z za baryery i w chwili, gdy konie dobiegały mety, rzuciła się pod kopyta królewskiego rumaka. Jeździec, koń i fanatyczna kobieta znaleźli się na ziemi, tworząc jedną skłębioną masę...

Gdy po pierwszem wrażeniu pospieszono na ratunek, okazało się, iż fanatyczna sufrażystka doznała tak ciężkich obrażeń, iż w stanie beznadziejnym odwieziono ją do szpitala. Dżokej królewski Jones odniósł, na szczęście, lżejsze rany.

Wypadek ten wywołał w całej Anglii olbrzymie wrażenie... Sufrażystki więc cel swój osiągnęły, zdobywając rekord w... szaleństwach.

Zdobyli również rekord i fotografowie, którzy zdołali dokonać zdjęcia w chwili wypadku, jak to widzimy na naszej illustracyi.

Praca wśród ludu.

(Do illustracyi na str. 4).

Od lat pięciu, staraniem częstochowskiego Towarzystwa rolniczego, Częstochowa zgromadza około 200 drobnych rolników na 6-cio dniowe kursa rolnicze.

W roku bieżącym kursy takie odbyły się w d. od 2 do 7 czerwca włącznie. Przed zaczęciem wykładów ks. kanonik Fulman oddrawił Mszę św. na intencyą kursistów i następnie przemówił do nich, zachęcając do uwagi i osiągnięcia jaknajwiększych korzyści.

W własnej sali częstochowskiego Towarzystwa rolniczego, na polach doświadczalnych, powitał kursistów pięknem przemówieniem prezes częstochowskiego wydziału kółek, szambelan Karol Łącki.

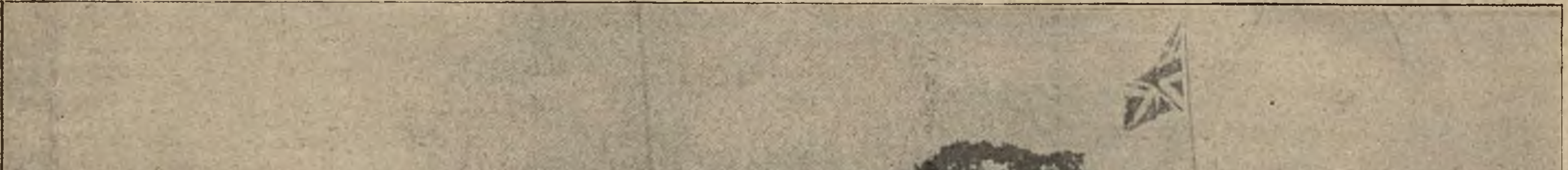
Prelegenci pouczali od 8 rano do 1-ej po południu, następnie do godziny 3 obiadowano, a po obiedzie urządzano wycieczki.

W ciągu tych dni uczestnicy kursów zwiedzali gospodarstwa drobnych rolników we wsi Kiedrzynie, gdzie z zajęciem oglądali gospodarstwo 18-morgowe p. Jaroty, oraz wzorowo prowadzone gospodarstwa majątków Libidzę, Pierzchno i Kamień.

Uczestnicy kursu byli także w kinematografie, oraz w teatrze „Ogniska robotniczego“, gdzie odegrano „Placówkę“.

Gospodarze zadowoleni z kursów i życzliwości, jakiej doznali, w sobołę d. 7. b. m. wieczorem rozjechali się po kraju.

W tych dniach odbyły się również w Częstochowie urządzane corocznie staraniem częstochowskiego Koła Ziemianek, 8 dniowe kursa dla gospo-



Szalony czyn sufrażystki: Mis Wilding Dawidson i jej ofiara, królewski jeździec z koniem, po wypadku na wyścigach angielskich.

dyń wiejskich. Zgromadziło się z górą 200 kobiet, z różnych okolic. Wykłady poprzedziło nabożeństwo w kościele św. Zygmunta, celebrowane przez ks. kanonika M. Fulmana, który też od ołtarza powitał zgromadzone gosposie i pięknie przemówił, zachęcając gorąco do oświaty.

Z świątyni udano się do wielkiej sali częstochowskiego Tow. rolniczego, na polach doświadczalnych, gdzie przewodnicząca Koła Ziemianek, szambelanowa Helena Łącka, powitalnym przemówieniem przyjęła zgromadzone. Na kursach tych wykładali: dr. Kasperowiczowa z Warszawy o hygienie zdrowia, szambelanowa Łącka o wychowaniu, p. Władysław Zawada o ogrodnictwie i sadownictwie, pani Rogowska z Rząsaw o hodowli drobiu, instruktor pan Chrostowski o hodowli bydła, pani Zaleska z Pierzchna o hodowli trzody, p. Rogowska o kuchni, szambelanowa Łącka o gospodarstwie domowem, instruktor p. Chrostowski o mleczarstwie, prezes częstochowskiego Wydziału Kółek, szambelan Łącki o uprawie lnu, instruktor Chrostowski o stowarzyszeniach. W popołudniowych godzinach zwiedzano gospodarstwo w Lalusinie u pp. Bzowskich.

Opuszczając Częstochowę, zadowolone z wykładów gosposie dziękowały serdecznie ziemiankom za trudy około urządzenia kursu i troskliwą opiekę.

Pouczająca wycieczka.

Mamy obecnie okres wycieczek, które ze wszystkich zakątków kraju spieszą do środowisk naszego życia kulturalnego i narodowego. Pełno takich wycieczek zarówno w Krakowie, jak w Warszawie, we Lwowie i innych miastach. Wycieczki takie łączą w idealny wprost sposób „przyjemne z pożytecznem“. Są nadzwyczaj miłą rozrywką, a jednocześnie uczą i kształcą, pobudzając umysł do pracy i studyów. Tak przyjemnie a zarazem pożytecznie spędziły czas we Lwowie uczenice zakładów naukowych ze Stanisławowa, które wzięły udział w wycieczce, zorganizowanej przez stanisławowskie Stowarzyszenie pomocy przemysłowej kobiet „Mrówka“.

Młode uczestniczki wycieczki zwiedziły instytucye Ligi pomocy przemysłowej raz osobliwości miasta, a opuszczały Lwów, unosząc ze sobą miłe wspomnienia.



Wojna w parlamencie: Były ban Chorwacyi Cuvaj.



Pouczająca wycieczka: Grupa uczenic ze Stanisławowa we Lwowie, z kierownikami i kierowniczkami wycieczki.
(Fot. M. Münz, Lwów).

Redl Niemcem.

(Do illustracyi na str. 7).

Skandaliczna afera szpiegowska Redla wywołała naturalnie w prasie wiedeńskiej ogromne oburzenie i zakłopotanie. Niektóre dzienniki niemieckie pospieszyły nawet z zapewnieniami, że pułkownik Redl nie był Niemcem, lecz Polakiem (!). Twierdzenie to opierały na fakcie, iż ten głośny dziś szpieg urodził się we Lwowie i przez pewien czas pełnił służbę w Galicyi. Kłamliwość tych doniesień stwierdził w liście do lwowskiego „Dziennika Polskiego“ prof. Maryan Signio, który w r. 1870 udzielał w domu Redlów nauki gry na fortepianie. Według tego najwiarygodniejszego świadectwa, ojciec pułkownika-szpiega, naczelnik dworca kolejowego we Lwowie, był rodowitym Niemcem i po polsku nie umiał wcale mówić. W domu jego, gdzie panował duch czysto niemiecki, języka polskiego nie używano wcale.

Naturalnie Redl, urodzony i wychowany we Lwowie, gdzie pełnił również służbę jako podporucznik w stanisławowskim 58 p. p. (stacyonowanym wówczas we Lwowie), władał dobrze językiem polskim. Nie ulega jednak wątpliwości, że sam uważał się za Niemca. Gdy go jeden z kolegów-oficerów zapytał, dlaczego jako urodzony we Lwowie i mówiący dobrze po polsku nie podaje się za Polaka, Redl odpowiedział, że jest Niemcem, który tylko przypadkowo, skutkiem przeniesienia ojca, dostał się do Galicyi.



Walki w parlamencie: Hr. Stefan Tisza, nowy prezydent gabinetu węgierskiego.

Z letniego karnawału.

(Do illustracyi na stronie 10).

Karnawał letni jest już w całej pełni. Obok letnich zabaw po miastach, co niedziela i święto spieszą liczne tłumy za miasto, aby na łonie natury szukać wytchnienia i wypoczynku. Wyruszają też do podmiejskich okolic mniej lub więcej liczne wycieczki...

Taką wycieczkę zorganizowało w niedzielę Stow. prac. handl. i przem. m. Warszawy... Liczne grono pań i panów bawiło się doskonale w Skolimowie, a to rozpoczęcie karnawału letniego przez jedno z najruchliwszych stowarzyszeń warszawskich upamiętniła wspólna fotografia, którą zamieszczamy.

Z półek księgarskich.

Wiktor Dzierżanowski: **Nam jeno szumy zwiastują wiosnę...** Warszawa 1912. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Druk M. Radzickiego. Rysunek na okładce i w książce Teodora Ziomka.

W ostatnich czasach spotykamy tak często wydawnictwa poezyi najrozmaitszych autorów, nie mające żadnej absolutnie wartości literackiej, że każdy nowo pojawiający się tomik bierzemy po pros u z niedowierzaniem w rękę... W tym wypadku spotyka nas jednak miłe rozczarowanie... Zbiór poezyi p W. Dzierżanowskiego zasługuje w całej pełni na to, aby je przeczytać i pod każdym względem pochwalić!

Rozwiązanie zagadek z Nr. 22.

Zadanie konikowe:

Kobiety serce zanadto jest małe,
Aby tak wiele objąć w siebie mogło,
Jej miłość można nazwać apetytem,
Tam dusza niczem, wszystkiem podniebienie,
Bo, jakże łatwo pięknemu mężczyźnie
W woskowem sercu kobiet piętno wybić.

Bilety wizytowe: Argentyna, Buenos Aires. Holandya, Amsterdam. Wenezuela, Karakas. Saloniki, Grecya.

Zagadka: Ikar, raki.

Przysłowiówka: Gość w dom, Bóg w dom.

Zadanie do przestawienia: Lepsza słomiana zgoda jak, złoty proces.

Logogryf:

M a r y a
A s n y k
L a l k a
C z a t y
Z y z m a
E s t e r
W r z o s
S y b i r
K l a r a
I s k r y

Depesza: Jan Zacharyasiewicz, Wiktorya Regina, Zakopano skarby.

Rebus: Ulice miasta oświecamy latarniami, pola i dąbrowy oświecają księżyc i gwiazdy.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, M. Więckowska Łódź, A. Pick Warszawa, K. Bandrowski Lwów, J. Kwaśniewski Przemyśl, K. Lindenbaum Czerniowce, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Lwów, E. Niestenberger Lwów, M. Arbesbauer Lwów, K. Galiński Sambor, F. Gebhardt Kraków, M. Planecka Kraków, J Cisowski Warszawa, S. Krzyżanowski Kraków, J. Roland Kraków, K. Rosenbaum Rozwadów, I. Brzostowski Krosno, J. Strojek Tarnopol, W. Swirski Piotrków, D. Dorożyński Odessa, C. Wang Tarnobrzeg, K. Sawliński Jasło, H. Trojacki Wiedeń, J. Biechońska Stanisławów, S. Lindenbaum Czerniowce, S. Galiński Sandomierz, J. Lichański Warszawa, T. Mazaraki Radom, B. Zbigniewicz Kraków, J. Broda Rzeszów, A. Balicki Stanisławów, S. Rogaliński Warszawa, J. Lisowski Krosno, D. Engelberg Rzeszów, A. Gralewski Kraków, J. Jahoda Cieszyn, J. Antosz Kołomyja, R. Radomski Czerniowce, M. Rychlik Jasło, S. Sokołowski Kraków, Z. Dębiński Lwów, K. Stojanowski Stanisławów, K. Szumańska Rawa Ruska, K. Fuchs Czeremchów, M. Sikorska Stanisławów, R. Bukowski Kijów, J. Kaczkowski Drohobycz, A. Siatka Kraków, S. Karwowski Berlin, H. Tymińska Lwów, J. Piątek Podwołoczyska, J. Stanisławski Czerniowce, M. Kot Sambor, A. Kosiński Kolbuszowa, J. Solecki Kraków, K. Kaim Kraków, R. Madejski Lwów, W. Wojciechowski Czerniowce, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, J. Popiel Kijów, M. Rieger Brody, H. Dębicki Lwów, M. Gawrońska Mińsk, L. Krokowska Częstochowa, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Tarnów, S. Bernatowicz Rzeszów, M. Klimek Cieszyn, S. Wiewiórowski Warszawa, J. Krawecki Przemyśl, F. Knopf Jarosław, H. Wysoczański Petersburg, H. Scholz Rozdół, A. Dużak Kraków, F. Blatterfeind Lwów, W, Ostrowski Łódź, J. Łopatkiewicz Jasło, J. Czarkowski Uhnów, J. Kozicki Stanisławów, L. Lang Kraków, T. Szumski Ryga, K. Armatys Lwów, J. Nowacki Lwów, H. Chmurowicz Częstochowa, J. Orzechowski Kalisz, J. Sadowski Kraków, S. Rogowski Kołomyja, T. Biliński Tarnów, K. Janik Drohobycz, M. Link Lwów, R. Czapuczyński Kijów, W. Kalinowska Kalisz, Ch. Rosenblum Borszczów, J. Trepka Radom, J. Raczyński Kołomyja, H. Górska Lwów, K. Stefański Lwów, M. Winter Tarnopol, M. Klappholz Rzeszów, D. Łopatyński Kraków, S. Jasiński Rzeszów, H. Maciejowska Winnica, M. Serbeńska Budzanów, H. Górska Lwów, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, M. Karpińska Lwów, J. Zachara Krosno, K. Król Kołomyja, J. Walter Podwołoczyska, K. Misińska Złoczów, J. Sliwiński Brzostek, D. Ligęza Tarnów, S. Osadowska Rzeczyca, H. Topolnicki Kamieniec, H. Czyżewska Warszawa, S. Lipski Wiedeń, K. Radoszewski Kolbuszowa, M. Wyka Rzeszów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **D. Karczmarski Poddębie.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Ze świata kobiecego.



Nowe wzory mód.

Zamiast obszernego artykułu dajemy w dzisiejszym numerze obszerną illustracyę i do niej kilka słów objaśnień. Wzory, przez nas podane, przedstawiają szereg kapeluszy według najnowszego fasonu, oryginalne modele paryskie, bardzo piękne i nadzwyczaj modne. Ma się rozumieć w naszych stosunkach odrzucić by może należało zbyt kosztowne rajery i egrety, a zastąpić je podobnymi tańszymi, ale za to ogólny wygląd modeli w zupełności może znaleść zastosowanie. Na początku przedstawiona jest suknia wieczorowa letnia (Nr. 1). Zrobiona ona jest z lekkiej materyi jedwabnej, przybrana tiulem oraz bardzo pięknem upięciem z sztucznych róż. Bluzka o kroju ruskim, pokryta jest cała tiulem, który sam tworzy ruską baskinę. Modele kapeluszy (Nr. 2 i 8) kapuz przedstawiają bardzo obecnie noszone fasony, robione z gazy lub tiulu; są one bardzo skromne i nadzwyczaj twarzowe. Ozdobę ich stanowią riusze gazowe, okalające twarz, oraz czarne aksamitki będące rodzajem wiązania pod brodą. Jedna z kapuz przybrana jest małą fantazyą rajską, druga zaś różami. O wiele bogaciej przedstawiają się inne pięć modeli. Tutaj fantazye z piór odgrywają główną rolę, gdyż same fasony są bardzo skromne. Ogromnie wdzięcznym jest fason Nr. 6, który nawet bez tej oryginalnej fantazyi przedstawia się jako model bardzo twarzowy. Również twarzowo przybrany jest kapelusz Nr. 3. Główka zrobiona z jedwabiu, a ozdobiona trzema egretami, śmiało z przodu przypiętymi.

Najmniej efektowny jest model Nr. 7, całe przybranie stanowi fantazya z piór, która jednak nie jest dosyć twarzowa. Ostatni wzór (Nr. 9) daje nam znowu ładną i skromną suknię domową. Może ona być robiona bądź z jedwabiu, bądź też z jakiejś innej lekkiej materyi. Bluzka ruska ma szeroki kołnierz, odstający trochę na sposób marynarski. W pasie ujęta jest przewiązką miękką, szeroką. Rękawki dosyć długie przechodzą poza łokieć, również baskina bluzki sięga dosyć daleko, tworząc jakby tunikę dla spódnicy.

W.

MICHAŁ MORPHY.

TAJEMNICA POGROMCZYNI.

Powieść z francuskiego.

19

— Ale — ciągnął dalej — więzienie wykształciło mnie. Wróciłem, uzbrojony do zemsty. Pani Monte-Leonowa zmarła na nieznaną słabość. Lekarze, nie wiedzący, co począć, mówili: to anemia. Ja zaś, który wiem, co to było, powiem pani: trucizna! To jedno!... To był mój debiut. Potem dałem się zemście swojej macerować w sosie, jak smakosz. Carbonierowie mieli syna, a Monte-Leonowie córkę. Dziś właśnie pożeniono tę parę. Otóż, w tej chwili syn siedzi w więzieniu za kradzież, a wszystko jest tak przygotowane, że musi być skazany. Co zaś do ojca, ten czeka tylko na moje dobicie i jeszcze trochę poczeka. Niech cierpi!

Demona była blada, jak śmierć. Sigrist mówił znowu:

— Pragniesz pani wiedzieć zapewne, jak się to stało? Stało się w sposób najzwyczajniejszy, jak wszystkie wielkie rzeczy. Kradzież ośmdziesięciu tysięcy franków popełniono w domu bankowym, gdzie pracował syn Carboniery. Ja sam jestem autorem tej kradzieży, przyznaję się pani. Na dowód zostawiłem sobie dziesięć tysięcy franków, ażeby użyć trochę.

— Jakiż snop okropności! — bezwiednie szepnęła pogromczyni.

— Tak, to okropne. Bardzo okropne, jak mawiają Anglicy. Domyślasz się pani zapewne, że podłożyłem skradzione banknoty w biurku i po kieszeniach młodego żonkosia. Jestem w porozumieniu z dwoma szpiegami politycznymi i skorzystałem z tego dla zrobienia maleńkiej denuncyacyi. Co się tyczy Monte-Leona, to pani wiesz lepiej odemnie, w jaki sposób dostał się w moje ręce. Dziękuję za pomoc. Wolę nawet, że żyje z otwartym brzuchem, niżby miał umrzeć. Koniec końcem, rzecz się tak przedstawia: Carbonierowie i Monte-Leonowie są albo zabici, albo konający, albo zbezczeszczeni. Powiedziałem im przed dwudziestu laty: „Biada wam, biada waszym!". Zemsta moja dobiła do portu.

Sirgist zaczął się przechadzać w milczeniu. Niekiedy wydawał okrzyk strasznego śmiechu.

Baronowa d'Ernemont, ukryta za ścianą klatki, słyszała wszystko. Wyślizgnęła się ostrożnie, z bladością śmierci na czole. W nocy zaś, po powrocie do domu, opisała wszystko, o czem pouczył ją wypadek. Pominęła milczeniem śmierć Yagona, ponieważ, zdaniem bandyty, nie pozostało żadnego dowodu. Skończywszy pisanie, złożyła papier starannie i umieściła go w kopercie. Poczem napisała adres, arcyniebezpieczny dla spokoju Sigrista:

Do Pana Prefekta Policyi
Pałac Prefektury
w Paryżu.

Policya, która nie zawsze celuje jasnowidzeniem, miała się spyszna tym razem. Co zaś do baronowej d'Ernemont, ta mówiła do siebie:

— Demona zasztyletowała mi kochanka. Posyłam wzamian jej kochanka na gilotynę! Tak jesteśmy kwita.

Otóż dowód, że kobiety najpiękniejsze z pozoru, nie zawsze są najprzyjemniejszemi w głębi.

ROZDZIAŁ V.

Wszystko jest dobrze, co się dobrze kończy.

Pan Louis, inaczej Sirgist, miał pokój w mieście, oprócz własnego kąta w menażeryi. Owóż jego gospodyni była bardzo zdziwioną, spostrzegłszy wchodzącego do siebie komisarza policyi.

— Pani ma tu lokatora nazwiskiem Louis?

— Pana Louis? Mam, a jakże! Mieszka na drugiem piętrze, z prawej.

— Czy jest w domu?

— Nie ma go, co tylko odszedł.

— To dobrze, pokaż mi pani jego pokój.

Dotarto do drzwi, które ślusarz otworzył bez trudu. Rozpoczęła się rewizya. Pan Louis miał zły pomysł zostawiania portfelu w domu. Komisarz znalazł ten portfel i z wielką satysfakcyą spostrzegł w nim ładną paczkę walorów starannie spiętych szpilką. Gospodyni zauważyła, że musiał się bardzo interesować jej lokatorem, zdjął bowiem ze ściany jego fotografię. Odszedł, zabierając ze sobą różne papiery i dokumenty, które uznał za zbyt ciekawe, ażeby miały butwieć nadal w głębi szafy.

Gospodyni lubiała niezawodnie władze swojego państwa i komisarza policyi, który był przedstawicielem jej dzielnicy, ale daleko więcej lubiała swego lokatora. A ponad wszystko lubiała napiwki, które zdobiła słodką nazwą gratyfikacyi. Otóż, dla otrzymania datku, zrobiła sobie przyjemność ostrzeżenia pana Louis o wizycie komisarza policyi i o małych figielkach tego doskonałego urzędnika. Biegła tak szybko, że wyprzedziła policyę, która, jak wiadomo, kuleje nieco. Sigrist był w trakcie konwersacyi z Demoną. I tym razem zwierzał się przed nią raz jeszcze.

— Posłuchaj pani — rzekł — muszę pani wyznać, że w miarę posuwania się twojej zemsty, serce moje zaczyna znowu pragnąć kochania.

— Pan chcesz pokochać?! — zawołała Demona.

Była w klatce, a zapomocą pieszczot i łakoci starała się obudzić zapomnienie w zwierzętach ich ostatniego buntu. Sigrist po drugiej stronie kraty podziwiał jej odwagę prostą i naturalną.

— Tak — mówił — potrafię kochać równie silnie, jak nienawidzić.

— Czy można wiedzieć, kto stanowi przedmiot pańskich amorów?

— Pani pytasz o to?

Demona odwróciła się doń z wyrazem szczerej pogardy:

— Pewno ja! — rzekła, nie objawiając zdziwienia.

— A któż inny? Tak, kocham, ubóstwiam panią!

— A no, to chociaż prorokować nie umiem, przepowiadam panu, że będzie to miłość nieszczęśliwa.

— Wtedy strzeż się pani, ażeby trup Yagona nie wyszedł z ziemi.

— Kpię sobie z gróźb pańskich. Możesz mnie pan zgubić, ale i ja mam pana w ręku.

— Bajki — rzekł Sigrist — bo ja mogę zniknąć i po cichutku zadenuncyować panią formalnie.

Demona wyprostowała się całym wzrostem.

— Podły! — rzekła — zawsze podły!

Wspaniałą była w tej wzgardzie pod amazonką surowego kroju, uwydatniającą jak najdokładniej jej przepyszne kształty. Sigrist miał odpowiedzieć, gdy zjawiła się jego gospodyni. Zaledwie usłyszał jej opowieść, kazał jej wyjść natychmiast. Wrócił do Demony.

— Toś ty mnie zadenuncyowała? — wybuchnął.

Ale ona odburknęła ze wstrętem:

— Czy myślisz, nędzniku, że jestem twojej miary?

Sigrist spostrzegł, że nie kłamie. Skierował się ku drzwiom. Ale cofnął się nagle.

— Policya! — rzekł.

I z przestrachem zwrócił się do Demony.

— Zginąłem. Jeżeli nie znajdziesz środka, ażeby mnie ocalić, zadenuncyuję cię!

Pogromczyni zamyśliła się. Była odważną i myśl o śmierci nie przerażiła jej wcale. Gdyby ją zadenuncyował, weszłaby do klatki, by nie opuścić jej nigdy.

I tak by skończyła. Taką była jej pierwsza myśl. Poczem nagle zawezwała Sigrista:

— Mogę pana ocalić. Mój lew Cezar, prawdziwy pies, leży w tym kącie wzdłuż desek. Nie ruszy się, jeżeli mu zabronię. Jesteś pan mały. Ukryj się za nim, pod temi baryerami do ćwiczeń. On pana zasłoni swojem cielskiem. Agenci będą myśleli, żeś pan uciekł.

Sigrist zbladł. Kroki policyantów rozlegały się na deskach wejściowych. Przybiegł do drzwi klatki, ale zabrakło mu odwagi. Nogi uginały się pod nim. Nie śmiał wejść. Policyi tylko co było patrzeć. Demona chwyciła go równocześnie z wejściem agentów i rzuciwszy go w kąt klatki, krzyknęła.

— Tam, w kąt!

Był czas wielki. Komisarz policyi w towarzystwie kilka strażników wkroczył na salę. Pogromczyni wyszła na ich spotkanie. Urzędnik skłonił się przed tą znakomitością chwili.

— Pani ma u siebie oficyalistę — rzekł — nazwiskiem Louis?

Demona chciała odpowiedzieć, że wyszedł, gdy dał się słyszeć straszny koncert ryków. Komisarz pobiegł do klatki. Okropne widowisko przedstawiło się jego oczom. Sigrist padł ofiarą bestyi. Nędznik wszedł drżący. Otóż, strach w takich warunkach stanowi o śmierci! Gdyby Demona ukryła go była za Cezarem, drzemiącym i ułagodzonym, ten pozwolił by mu leżeć za sobą. Ze jednak wszedł sam, był przeto zgubiony. Chwiał się pośród zwierząt, potykał się o nie, a nadomiar złego, nastąpił na ogon jednego z tygrysów. Zwierz zerwał się straszny i jednym ruchem łapy obalił go pod siebie. Wtedy właśnie nadbiegli obecni. Jednocześnie zjawiły się w menażeryi trzy osoby. Były to Marcela i Rózia, a poprzedzał je Carboniera.

— Sigrist jest tutaj. Wiem o tem — huknął ten ostatni.

Komisarz wskazał mu na okropną scenę.

— Oto on — rzekł, wyciągając rękę.

A zwróciwszy się do Demony, dodał:

— Czy zdobędzie się pani na tyle siły, ażeby go ocalić?

— Spróbuję — rzekła, biegnąc do klatki.

Ale w trzech skokach Carboniera dogonił ją i chwycił pod pachy.

— Nie, nie wejdziesz pani! — zawołał.

Sigrist, z oczyma pełnemi trwogi, wydał jęk chrapliwy. Usiłował powstać. Ale to właśnie przyśpieszyło kres jego. Tygrys zmiażdżył mu głowę paszczą, a wszystkie bestye, oszalałe widokiem krwi, rzuciły się na ciało bez życia.

Wtedy Carboniera puścił pogromczynię.

— Daruj mi pani — rzekł — ale pani życie więcej było warte, niż istnienie tego potwora.

Demona nic nie odrzekła, ale patrząc na zwierzęta, które ćwiartowały ofiarę, westchnęła z ulgą. Już jej nie zadenuncyuje przed nikim. Komisarz odszedł, po spisaniu odpowiedniego protokułu.

— Czego on tu chciał? — zapytał Carboniera Demony.

Ta nie dała wcale odpowiedzi. Carboniera pożegnał ją.

— Wszystko to nie daje klucza wolności małemu! — rzekł do Rózi.

Marcela ze zgrozą przyglądała się scenie pożarcia żywcem. Prosiła też, ażeby coprędzej wrócić do domu. Przybywszy do willi, wszyscy udali się prosto do Monte-Leona.

Jakież jednak było ich zdziwienie i szczęście, gdy u jego łoża zastali... kogo? Ferdynanda!

— Ty tutaj?! — rzekła Marcela, rzucając mu się w objęcia.

— Musisz o tem wiedzieć, skoroś mi mówiła, że będę lada chwila wolny.

— Prawda, najdroższy, ale nie miałam żadnej nadziei.

Przez cały kwadrans młody człowiek musiał się poddać wybuchom pieszczot. Rózia i Marcela wyrywały go sobie wzajemnie.

— Ależ do licha, nic z niego nie zostanie, gdy na mnie przyjdzie kolej — zawołał Carboniera.

I chwytając syna za plecy, uniósł go z ziemi, ucałował, podrzucił w powietrze i wkońcu cisnął na łóżko Monte-Leona, który śmiać się zaczął.

— To dla wygojenia mi rany! — ozwał się rzeźbiarz, rozweselony tem, co zaszło.

Carboniera był jak waryat. Nie wiedząc już, co ma robić, zaczął płakać gorącemi łzami.

— Drogie dzieci — rzekł — nie jestem niczem innem, jak wielkiem bydlęciem.

Poczem, wybuchając śmiechem:

— Wiesz, Monte-Leonie, mam przyjemność donieść ci, że pan Sigrist przeniósł się do wieczności.

— Seryo?

— Nie tyle umarł, ile został pogrzebion.

— Skądże wiesz o tem?

— A, bo widzisz, byliśmy właśnie świadkami małej uroczystości. Zwierzęta Demony urządziły sobie fetę z jego ciała i kości.

— Jeżeli tak — zawołał z radością Monte-Leon — to jestem ocalony, bo cały mój ból pochodził od tego łotra! Z jego śmiercią urok zdjęty.

— A i post także — rzekł Carboniera — rozpoczniemy wesele na nowo.

. . . .

Dzień zakończył się wesoło, a z nastaniem wieczoru, Marcela i Ferdynand, napieściwszy się do woli, przeszli do swego małżeńskiego gniazdka. I tym razem żaden punkt czarny nie zakłócił lazurów ich nieba.

Ich szczęście, sponiewierane tem okrutnem doświadczeniem, stało się teraz o wiele piękniejszem, o wiele głębszem. I dni szły kolejno, podobne ich miłością do siebie wzajem. Może w upojeniach miodowych miesięcy miłość ta była bardziej wyrazista, ale faktem jest, że nie zmniejszyła się nigdy.

Monte-Leon wkrótce powrócił do zdrowia. Carboniera, stawszy się cudacznie poważnym wskutek tych wypadków, zamieszkał na stałe u swego przyjaciela, a dzielnica Łuku Tryumfalnego była odtąd teatrem jego hałaśliwych i nieprawdopodobnych wybryków. Jego ciągłe psoty niepokoiły wiele domów, ale w pałacyku Monte-Leona nie przestawała gościć cisza i szczęście.

Rózia wypoczywała w rozkoszach swego podwójnego macierzyństwa. Bo Marcela i Ferdynand byli zarówno jej dziećmi.

Zaraz po wyzdrowieniu, rzeźbiarz dał satysfakcyę swoim pragnieniom artysty, stwarzając wspaniałe dzieło, zatytułowane D e m o n a P o g r o m c z y n i. Rzeźba ta była tak pełną życia, tak prawdziwą w najdrobniejszych szczegółach swoich, że jest bardzo prawdopodobnem, iż piękna Algeryanka uprzejmie pozowała Monte-Leonowi.

Carboniera, zazdroszcząc przyjacielowi jego ostatniego sukcesu, zdecydował się opublikować swoje P a m i ę t n i k i Ż a r t o w n i s i a. Pokup był olbrzymi. Zaśmiewano się do łez z chwilą ukazania się tej niepospolitej książki. W ciągu tygodnia sprzedano jej tyle, co wszystkich innych dzieł Carboniery, razem wziąwszy, zaczynając od M e l o d y i S e r c a, czyli od jego debiutu.

Powodzenie jego romansu humorystycznego zrobiło go jeszcze bardziej wściekłym, aniżeli stałe niepowodzenie jego elukubracyi poetycznych. Ale prawa autorskie jego P a m i ę t n i k ó w kazały mu zapomnieć o tym złym guście publiczności.

. . . .

Nie umielibyśmy zakończyć powieści niniejszej bez powiedzenia słów paru o baronowej d'Ernemont.

W kilka miesięcy po opowiedzianych wypadkach powiła ona chłopca, o tyle swawolnego, o ile nim wcale mąż jej nie był. Baron wielce się ucieszył, ale jakież było jego zdziwienie, gdy spostrzegł, że jego spadkobierca i dziedzic imienia, z biegiem lat nabierał akcentu południowego bez żadnej istotnej przyczyny. Drugiem zdziwieniem było to, że synalek jego miał szczególniejszą predylekcyę do niedźwiedzi z *Jardin des Plantes*.

— „Ja chcem uściskać my... mysiów“ — mawiał śliczny chłopczyk.

Baronowa nie bardzo pojmowała, skąd w jej dziecku rodzi się tak zdeprawowany gust do niedźwiedzi.

Co do Yagona, to możemy powiedzieć, że nie sześcio lecz siedmiopiętrowy gmach stanął na gruncie, w którym spoczywają jego zwłoki. To po dziś dzień stanowi tajemnicę pięknej, lecz zazdrosnej pogromczyni.

Moglibyśmy na tem zakończyć opowiadanie, musimy jeszcze jednak opublikować krótkie zawiadomienie, odlitografowane na pięknym brystolu w tej treści:

„Pan i Pani Ferdynandostwo Carboniera mają zaszczyt donieść o przyjściu na świat ich córeczki Anieli. Matka i dziecko są zdrowe“.

A no, tem lepiej, nieprawdaż, drodzy Czytelnicy i miłe Czytelniczki?

Brawo i... bis!

K O N I E C.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Rząd środkowy, czytany z dołu do góry, poda imię i nazwisko polskiego powieściopisarza z XIX. stulecia.

K — t
o — o
o — a
o — a
r — k
a — y
w — r
k — a
a — a
i — y
l — s
o — m
a — h
w — t
ć — a

Kwadrat magiczny.

Ułożył W. M.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby utworzyły wyrazy o podanem znaczeniu. Środkowy rząd pionowy i poziomy podadzą nazwisko polskiego bohatera.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Postać biblijna. 3. Owoc południowy. 4. Prowincya w Ameryce południowej. 5. Spis nazwisk. 6. Szukany wyraz. 7. Inaczej dygnitarz. 8. Rzemieślnik. 9. Inaczej klasa ludzi. 10. Część dramatu. 11. Samogłoska.

Logogryf.

Ułożył M. Horeczy-Sitnik, Rawa Ruska.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nazwisko ruskiego poety.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Imię żeńskie. 3. Narzędzie gospodarskie. 4. Rzeka we Francyi. 5. Krzak u nas pospolity. 6. Miasto na Węgrzech. 7. Miasto we Włoszech. 8. Rzeka w Austryi. 9. Część głowy. 10. Samogłoska.

Logogryf.

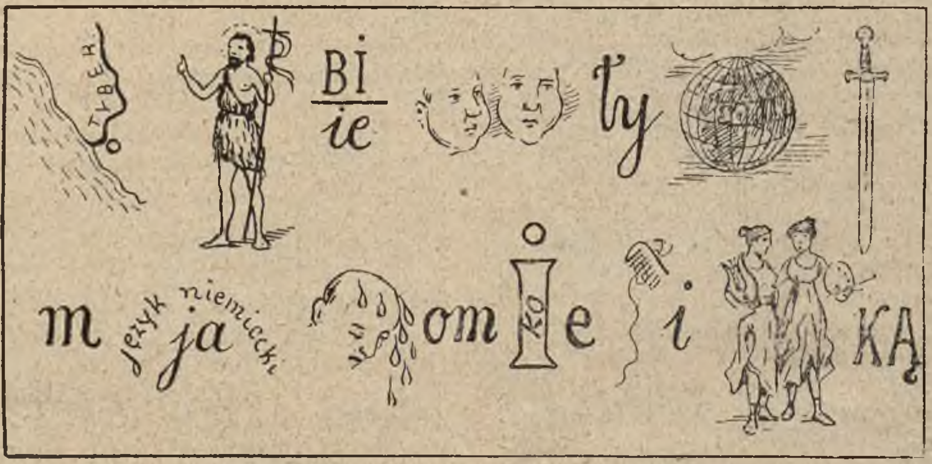
Ułożył W. M.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby utworzyły cztery wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy i ostatni rząd pionowy, czytany z góry na dół, poda nazwisko znanej polskiej powieściopisarki i tytuł jej dzieła.

□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Silny wicher. 2. Płynąca woda. 3. Początek. 4. Imię męskie. 5. Znane ptaki. 6. Roślina. 7. Rodzaj dywanu. 8. Bohater polski, uwieczniony przez Mickiewicza. 9. Inaczej zapachy. 10. Pamiętnik.

REBUS.



Zadanie do przestawienia.

Ułożył Szczęsny Kiliński, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
J u c z n a k o z a p i e r z e g o d ł a.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Conana Doyle:* **Dziwne powieści.** 2 tomy z rysunkami.

PERFUMY, KREMY, MYDŁA, PUDRY



W dziale perfumeryi artykułów toaletowych i kosmetycznych pierwsze nowości na składzie

SCHAMPOO-TAROOL

jedyny środek do mycia głowy i przeciw łupieżowi.

Główny skład mydeł Malinowskiego z Warszawy.



Nowość! „PNEUMO“ aparat do samodzielnego masażu twarzy, polecony przez powagi lekarskie, usuwa zmarszczki, odświeża nawet zwiędłą cerę komplet z sposobem użycia Kor. 6 —

Krem do aparatu **Pneumo.**

FARBY OLEJNE

szybko schnące do użytku gotowe, lakiery, emailie, glazury bursztynowe, masa francuska, wosk. „Cirina“, Parket-Rose i szczotki do froterowania w największym wyborze.

Polecają najtaniej

REIM i SKA Kraków Rynek 37

GRACYA Aptekarza **MATULI** najlepszy środek do nadania formy wąsom, nieszkodliwy działa dodatnio na porost wąsów.

Przybory kąpielowe i do podróży. Dra Rixa preparaty na porost biustu i inne.



LAWN-TENNIS

RAKIETY, prasy do tychże, PIŁKI, SIATKI. BUCIKI.

PIŁKI NOŻNE

i wszelkie przybory sportowe.

HAMAKI, LEŻAKI





PRZYBORY RYBOŁOWCZE.

Wrotki ameryk. na kółkach.

Księgarnia D. E. Friedleina w Krakowie

Rynek główny L. 15

z rozpoczynającym się ruchem turystycznym zaopatrzyła swój skład w przewodniki w rozmaitych językach jako to **wydawnictwa Baedeker'a, Woerl'a, Griebens'a** oraz **szczególniej poleca wymienione poniżej wydawnictwa:**

Artystyczno-Informacyjny Przewodnik po Neapolu i okolicy, z planem miasta i muzeum narod. opracował Leon Sternklar. Kor. 3·—

Artystyczno-Informacyjny Przewodnik po Palermo z planem miasta, opracował Leon Sternklar. Kor. 1·20

Artystyczno-Informacyjny Przewodnik po Pompei, Herkulanum i Capri z planem wykopalisk Pompei, opracował L. Sternklar. Kor. 1·20

Artystyczno-Informacyjny Przewodnik po Rzymie z planem miasta, napisał Edward Grajnert. Kor. 3·—

Artystyczno-Informacyjny Przewodnik po Wenecyi i wyspach okolicznych z planem miasta, napisał Leon Sternklar. Kor. 3·—

Baracz A. Mapa dziesięciu gubernji Królestwa Polskiego z oznaczeniem dróg żelaznych, bitych i zwyczajnych. 1907. Kor. 1·30

Esperanto. Album Krakowa zawierający 20 zdjęć z objaśnieniami w językach: polskim, francuskim i esperanto. Kraków 1912. Format 8-ki. Kor. 2·50

Ilustrowany Przewodnik po Krakowie Józefa Jezierskiego. — Rok 1912—13. Jedenasty rok wydawnictwa. Z wieloma ilustracyami i planem miasta. 8-ka, broszur. Kor. 1·—, opr. Kor. 1·50

Klejnoty Krakowa. Ozdobny album z 16 ilustracyami St. Tondosa. Wydawnictwo Salonu malarzy polskich. Kraków 1913. (Format małej, podługowatej 8-ki) broszur. Kor. 1·50, opr. Kor. 2·—

Kraków. 24 zdjęcia, bardzo ładne, Krakowa. Format 4-o. Kor. 3·—

Kraków i jego okolice opisał historycznie Ambroży Grabowski. Wyd. siódme wznowione z 57 drzeworytami. W opr. płóc. Kor. 3·—

Mapa Galicyi. Podziałka 1:600.000 zarys A. Herricha przejrzał i poprawił Fr. Barański. Wyd. nowe. Kor. 3·—, na płótnie Kor. 5·—

Nad Prądnikiem. Przewodnik po Ojcowie i jego okolicy. Wyd. II. ilustr., przejrzał i dopełnił K. Wróblewski. W opr. Kor. 3·20

„Podróżnik polski“. Przewodnik po Europie. Wyd. II., przejrzane i uzupełnione przez „Akademicki Klub Turystyczny“ we Lwowie. W opr. Kor. 7·80

Przewodnik po Lwowie, napisał Fr. Jaworski z planem miasta. K 2·—

Przewodnik po okolicach Krakowa, napisał Dr. Klemens Bąkowski. z 2 mapami. Kor. 2·40

Przewodnik po Śląsku Cieszyńskim wraz z opisem topograficzno-etnograficznym i szkicem dziejów Księstwa cieszyńskiego, ułożył X. Antoni Macoszek, z 19 rycinami, 6 mapkami i planem miasta Cieszyna. W opr. płóciennej Kor. 2·—

Przewodnik po Warszawie z planem miasta. Kor. 3·—

Tatry. Przewodnik po Tatrach, napisał Janusz Chmielowski. Najlepszy i najobszerniejszy.

Część I.	Część ogólna. Tatry Zachodnie.		W opr. Kor.	3·—
„ II.	Tatry wysokie	(Od Liliowego po Wagę)	„ „	5·20
„ III.	„ „	(Od Wagi po Polski Grzebień)	„ „	4·—
„ IV.	„ „	(Od Polsk. Grzeb. po Przełęcz Lodową)	„ „	2·—

Wszystkie części z wieloma ilustracyami, planami oraz mapami.

Wawel. Przeszłości skarbnica, siedziba Piastów i Jagiellonów. Według oryginałów Stanisława Tondosa i Wojciecha Kossaka ze wstępem i objaśnieniami Kazimierza Bartoszewicza. Kraków 1913. Nakładem wyd. „Salonu malarzy polskich“. Format 4-o. W opr. kartonowanej Kor. 6·—

Włochy Południowe i Sycylia wraz z wyspami Liparyjskiemi, Maltą i Tunisem, z 6 planami miast, planem muzeum w Neapolu i czterema mapami geograficznemi, opracował Leon Sternklar. W opr. płóciennej. Kor. 6·—

Zamek krakowski. Przewodnik dla zwiedzających z dodaniem historyi Wawelu, napisał Dr. Klemens Bąkowski. Wyd. III. powiększone i poprawione, z uwzględnieniem odkryć poczynionych do r. 1912, z 4 planami i 23 rycinami, w opr. płóciennej 1·20.

LABORATORYUM

LEKARSKO-DENTYSTYCZNE

Uniw. Med. Dr. Sabiny Weinberg

Pomocnik techn.

Wilhelm Fruchtman

Kraków ul. Floryańska 23.

Wykonuje wszelkie roboty w zakres lekarsko-dentystyczny i techn.-dentystyczny wchodzące

Ceny przystępne. **Ulgi w spłatach.**

I-a Solingen brzytwy



kute z najlepszej angielskiej srebr. stali, **ręcznie ostrzone** na włos obciągnięte, gotowe do natychmiastowego użytku. Każda brzytwa bywa dostarczona w etui

Nr. 8701.	Czarno poler. okł.	1/4 wklęsła	4/8 szer.	z etui	K 1·70
„ 8702.	„ „ „	1/2 „	5/8 „	„ „	2·20
„ 8703.	„ „ „	3/4 „	5/8 „	„ „	2·50
„ 8711.	„ „ „	1/1 „	3/8 „	„ „	3·60

Najlepsza brzytwa „Gracioza“, dla Panów fryzyerów specyalnie polecana. Marka ochronna: Tylko z moją firmą do nabycia

Nr. 22. Z czarn. polit. trzonk., ostrze 4/8 szer. 1/4 wklęsłe K 2·—

Nr. 26. „ „ „ „ 5/8 „ 1/2 „ „ 2·90

Bez ryzyka! Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy.

Wysyła za zaliczką lub po otrzymaniu należyt. c. k. nadw. dost.

Hanns Konrad, dom wysyłk. **w Brüx Nr. 4115** (Czechy)

Katalog główny z 4000 rycinami wysyłam każdemu na żądanie darmo i opłacony.

ROWERY



Gwarancyę zupełną



za niezawodny skutek wytępienia **szczurów, myszy domowych i polnych** dają bakterye

„ANTIRATOL“ i „ANTIMUSOL“

wynalazku Dra prof. Löfflera a sporządzone przez c. k. konc. Weterynaryjny Instytut Weterynarza W. O. Thanhofera w Wiedniu o wytrzymałości 4 do 6 miesięcy w cenie: „ANTIRATOL“ Koron **3, 6, 15 i 28,** „ANTIMUSOL“ Koron **3·50, 7, 16 i 30,** oraz **gotowe już trutki** (na wytępienie szczurów jakoteż i myszy) tak zwane reklamowe o wytrzymałości 12 do 15 miesięcy w cenie: **K 2,** a korzystniej w większych pudełkach po **K 3,** wraz z dołączonym dokładnym sposobem użycia franko do każdej stacyi poczt. począwszy przy zakupnie od **K 6.**

Do nabycia u wyłącznego Gener. zastępcy na Galicyę, Bukowinę, Śląsk austr., Król. Polskie i Ces. Rosyjskie.

Józefa Sadzikowskiego

Sekretarza Instytutu Kraków, Zielona 19.

Bliższe obszerne objaśnienia, prospekty i podanie pierwszorzędnych referencyi darmo i opłatnie. — **Do oddania Wyłączne zastępstwa na Bukowinę, Śląsk austr., Król. Polskie i Cesarstwo Rosyjskie.** — Zgłoszenia na ręce Sekretarza Instytutu jak powyżej.

Linia Hamburg-Ameryka

Regularne przewożenie podróżujących znanymi pierwszorzędnymi parowcami

Hamburg — Nowy-York
Hamburg — Filadelfia
Hamburg — Kanada

Hamburg — Brazylia	**Hamburg — Ameryka środkowa**
Hamburg — La Plata	**Hamburg — Wenezuela**
Hamburg — Arabia	**Hamburg — Kolumbia**
Hamburg — Persya	**Hamburg — Kuba**
Hamburg — Afryka	**Hamburg — Meksyko**
Hamburg — Indye Zach.	

Antwerpia — Kanada.

Linia Hamburg—Ameryka prowadzi na prawie wszystkich swoich nowojorskich parowcach

cztery klasy przewozowe

I. kajuta, II. kajuta, III. klasa i międzypokład. Parowce linii Hamburg—Ameryka dają przy znakomitem utrzymaniu, prędki i wygodny przewóz dla podróżujących w kajutach i wychodźców.

O wyjaśnienia i co do przewozu należy się zwrócić do generalnej reprezent. linii Hamburg—Ameryka, **Wien I, Kärntnerstrasse 38,** albo do jej agenta **we Lwowie, ul. Gródecka 95, w Czerniowcach, Herrengasse 16.**

HOTEL PENSION NOUVELLE

W KRAKOWIE, UL. ZACISZE L. 14 (w pobliżu dworca kolejow.)

na parterze, I-szem i II-giem piętrze. — Telefon Nr. 2449.

POKOJE UMEBLOWANE

od 2 koron i wyżej.

Na żądanie: Obiady, Kawa, Herbata.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.